

JANETTE OKE



*Pewnego razu
latem*





SPIS TREŚCI

<i>Rozdział</i> 1	Josh	11
<i>Rozdział</i> 2	Zmiany	23
<i>Rozdział</i> 3	O Lou	35
<i>Rozdział</i> 4	Poprawka	47
<i>Rozdział</i> 5	Powrót niepokoju	53
<i>Rozdział</i> 6	Niedzielny obiad	61
<i>Rozdział</i> 7	Hiram	77
<i>Rozdział</i> 8	Niespodzianki	85
<i>Rozdział</i> 9	Rodzina	97
<i>Rozdział</i> 10	Na rybach	103
<i>Rozdział</i> 11	Numer dwa	113
<i>Rozdział</i> 12	Jesienne dni	129
<i>Rozdział</i> 13	Młócka	141
<i>Rozdział</i> 14	Łatek	161
<i>Rozdział</i> 15	Cierpienie	171
<i>Rozdział</i> 16	Miłość w akcji	183
<i>Rozdział</i> 17	Pixie	189
<i>Rozdział</i> 18	Pieczona kukurydza	197
<i>Rozdział</i> 19	Ogłoszenie	211
<i>Rozdział</i> 20	Coś nieoczekiwanego	217
<i>Rozdział</i> 21	Wielebny Nathaniel Crawford	229
<i>Rozdział</i> 22	Plotki	239
<i>Rozdział</i> 23	Wieczór z gościem	249

<i>Rozdział 24</i>	Pożar na prerii	261
<i>Rozdział 25</i>	Następnego ranka	279
<i>Rozdział 26</i>	Dzień Pański i człowiek Boga	285
<i>Rozdział 27</i>	Kolejna niedziela	291
<i>Rozdział 28</i>	Epilog	299



ROZDZIAŁ 1

Josh

TAMTEGO RANKA NIE MOGŁEM DOCZEKAĆ SIĘ końca domowych obowiązków. Chciałem jak najszybciej wymknąć się do mojego ulubionego miejsca nad rzeką, by przez chwilę pomyśleć. Wszystko działo się tak szybko; martwiłem się, że cały mój świat ulegnie zmianie. Nie chciałem tego. Podobało mi się tak, jak było. Musiałem coś wymyślić, żeby wszystko zostało na swoim miejscu.

Zaniósłem do domu wiadro mleka, a potem pobiegłem do obory wypuścić Bossie z powrotem na pastwisko, by dołączyła do innych pasących się krów. Powłóczyła za mną leniwym krokiem, nie reagując, kiedy próbowałem ją pospieszyć. Kiedy wreszcie przeszła przez drzwi, uderzyłem w jej brązowo-białą zad i szybko umieściłem rygiel na miejscu. Bossie stała nieruchomo, jak gdyby nie wiedząc, co zrobić z wolnością i którą stronę wybrać.

Ja natomiast wiedziałem dokąd zmierzam. Ruszyłem południowym szlakiem pośród zielonej roślinności lata, niczym zając uciekający przed polującym na niego jastrzębiem.

Poziom wody w rzece ciągle był wysoki – w końcu mieliśmy środek lata – ale miejsce, które nazywałem swoim własnym, pozostawało ciche. Zabawne, że zawsze myślałem o nim jako o cichym, mimo iż było przecież pełne życia. Niekończące się ptasie melodie, ciągle brzęczenie najprzeróżniejszych owadów. Czasami także dobiegające z mielizn rechotanie żab czy pluski przeskakujących w głąb wody ryb. Dźwięki te zupełnie mi jednak nie przeszkadzały. Miejsce wciąż wydawało się spokojne, przede wszystkim dlatego, że wolne było od ludzkich głosów wydających kolejne polecenia.

Traktowałem je jako coś w rodzaju własnego łowiska; nie pokazałem go nawet mojemu najlepszemu przyjacielowi, Avery'emu Garrettowi. Avery i tak nie przepadał za wędkowaniem, więc niewiele stracił. Tamtego dnia jednak nie przyszło mi nawet do głowy, żeby zabrać ze sobą wędkę – tak bardzo pragnąłem zostać sam.

Zanim jeszcze usiadłem na moim stałym miejscu na kłodzie, podwinąłem nogawki ogrodniczek prawie do kolan i zanurzyłem stopy w zimnym strumieniu rzeki. Wepchnąłem je głębiej, czując jak cienka warstwa chropowatego piasku przeciska się przez moje palce, i zacząłem leniwie zataczać nimi kręgi w znajdującym się pod spodem mule. Nie zauważyłem niestety, że nie podwinąłem nogawek wystarczająco wysoko i teraz moczyły się wraz ze stopami w wodzie strumienia. Próbowałem podciągnąć je do góry, ale przesiąknięte, stawały opór.

Wiedziałem, że jeśli nie wyschną na słońcu zanim dotrę do domu, będę mieć kłopoty. Siedziałem więc, ruszając palcami u stóp i zastanawiając się, od której strony ugryźć całą tę sprawę.

Do wczoraj wydawało mi się, że wszystko było w porządku. Sam wczorajszy dzień zresztą także zaczął się całkiem dobrze. Dziadek musiał pojechać do miasta i zawołał mnie, gdy tylko skończyłem swoje obowiązki.

– Chłopcze! – Prawie zawsze zwracał się do mnie w ten sposób, zamiast używać imienia Joshua czy Josh, jak inni. – Chłopcze, miałbyś ochotę na wycieczkę do miasta?

Nie sililem się nawet na odpowiedź – uśmiech wystarczył – bo dziadek i tak już ją znał. Jeździłem do miasta zawsze, gdy tylko nadarzała się okazja.

– Bądź gotów za dziesięć minut – powiedział dziadek i ruszył po powóz.

Nie musiałem wiele robić, żeby się przygotować. Ponownie umyłem dłonie i twarz, przycesałem ręką włosy i sprawdziłem, czy moje ogrodniczki są czyste. Wydawały się w porządku, więc popędziłem w stronę obory, licząc na to, że załapię się na zaprzęganie koni.

Wycieczka do miasta była spokojna. Zarówno dziadek jak i ja lubiliśmy ciszę. Poza tym niewiele mieliśmy sobie do powiedzenia, a po co mówić dla samego mówienia? W końcu jednak dziadek przerwał milczenie.

– Robi się sucho.

Popatrzyłem po rowach i zobaczyłem, że w miejscach, które wcześniej były zielone i pełne roślinności, teraz pojawiły się brązowe plamy. Kiwnąłem głową.

Wjechaliśmy do miasta i dziadek zatrzymał powóz przy witrynie sklepu pana Kirka. Zeskoczyłem na ziemię i przywiązałem konie do poręczy, podczas gdy dziadek zaczął załatwiać swoje sprawunki w sklepie.

Chwilę później byliśmy już obaj w sklepie, gdzie – po wymianie przywitań i krótkich rozmowach z panem Kirkiem i paroma klientami – wraz z dziadkiem przeszliśmy do robienia zakupów. Jego sprawunki nie były skomplikowane – chciał tylko kupić potrzebne na farmie zapasy. Ja natomiast miałem trochę trudniejsze zdanie. Przed wyjazdem z domu wujek Charlie odciągnął mnie na bok i – jak to miał w zwyczaju – wsunął mi w kieszeń pięciocentówkę. Teraz musiałem więc zdecydować, na co je wydać. Przeszedłem się wzdłuż lady, by zobaczyć, co mogłem kupić.

Pani Kirk stała z tyłu sklepu rozmawiając z kimś przez telefon. Niewiele osób w miasteczku miało telefony. Za nic nie mogłem przyzwycząić się do widoku kogoś mówiącego do pudełka. W końcu pani Kirk odłożyła słuchawkę i podeszła do nas.

– Dzień dobry, panie Danielu. Ładny mamy dzień, prawda? Obawiam się jednak, że zrobi się później gorąco. – Nie czekając na odpowiedź, zwróciła się znów do dziadka. – Chciałam się upewnić, że otrzymał pan swój list.

Na zapleczu sklepu pani Kirk prowadziła bowiem miejscowy punkt pocztowy. Była miłą kobietą, której zainteresowanie sprawami innych nie świadczyło o wścibstwie, ale o faktycznej trosce.

Dziadek wziął od niej list, cały rozpromieniony. Rzadko kiedy dostawaliśmy listy.

– To od mojego ojca – powiedział niepytany, obdarzając panią Kirk półuśmiechem, a następnie schował kopertę do kieszeni. – Dziękuję pani.

Dałem sobie spokój z listem i wróciłem do swojego problemu – na co wydać te pieniądze? Dziadek w każdej chwili mógł przecież wziąć zakupy i zawołać mnie do wyjścia, a ja ciągle się wahałem.

W końcu, zdecydowawszy się na czekoladowe lody w wafelku, podszedłem do dziadka, by pomóc mu z pakunkami. Z jedną ręką zajętą nie byłem specjalnie pomocny, ale przynajmniej się starałem.

Dziadek wycofał konie i ruszyliśmy w drogę do domu, podczas której delektowałem się każdym liźnięciem lodów, tak szybko topniejących na letnim upale. Gdy wyjechaliśmy z miasta, dziadek przekazał mi lejce.

– Spieszno mi do przeczytania, co pisze mój tato – wyjaśnił, wyciągając list z kieszeni koszuli. Czytał po cichu, a ja zerkałem na niego od czasu do czasu. Byłem ciekaw, jakie to uczucie otrzymać list skierowany wyłącznie do siebie. Wydawało się, że dla dziadka nie było to zbyt przyjemne. Wreszcie, złożwszy kartkę, schował ją do koperty i zwrócił się do mnie.

– Twoja prababcia zmarła, chłopcze.

Dziwne, że mówiąc o prababci nawiązał do jej relacji ze mną, a nie sobą samym. Nieświadomie wyciągnął dłoń po lejce. Gdyby nie był taki rozkojarzony, dalej pozwoliłby mi prowadzić – zazwyczaj tak robił, kiedy wracaliśmy z miasta.

Przyglądałem mu się kątem oka. Przykro mi było z powodu prababci, ale nie mogłem udawać, że jestem naprawdę

smutny. Nigdy jej nie poznałem i niewiele na jej temat słyszałem. Nagle zdałem sobie jednak sprawę, że dla dziadka było to coś zupełnie innego. Ta mieszkająca gdzieś daleko starsza pani, która właśnie zmarła, była jego mamą. Ogarnięty niespodziewanym współczuciem odniosłem wrażenie, że zaciska mi się gardło, lecz nie wiedziałem, co powiedzieć.

Pogrążony w myślach dziadek wydawał się zupełnie nieświadomy lejców luźno spoczywających w jego rękach. Byłem pewien, że nie zauważyłby nawet, gdybym mu je teraz wyjął z dłoni. Nie zrobiłem tego jednak. Siedziałem w ciszy, nie przeszkadzając mu w rozważaniach. Wyobrażałem sobie, że dziadek wspominał prababcię taką, jaką ją ostatnio widział. Wiele razy mówił mi, że mając piętnaście lat uznał za słuszne wynieść się z miasta. Spakował więc tych kilka rzeczy, które były jego, pożegnał się z rodziną i ruszył na Zachód. Prababcia żegnała go ze łzami w oczach, ale nie próbowała go zatrzymać.

Dziadek mieszkał na zachodzie przez wiele lat, w ciągu których dorobił się farmy i założył rodzinę. Potem zaprosił do siebie swego starszego i jedyne go brata, a mojego wujka Charliego. Wujek Charlie był kawalerem, a dziadek potrzebował dodatkowych rąk do pracy przy zbiorach i żniwach. Wujek chętnie zrezygnował więc z posady sprzedawcy w sklepie z narzędziami i przyjechał do dziadka.

Mniej więcej raz do roku siadywali i rozmawiali o tym, że wypadałoby wsiąść w pociąg i pojechać do domu, ale nigdy w końcu się na to nie zdecydowali. Teraz prababcia odeszła, a pradziadek miał spędzić starość w samotności.

Zastanawiałem się, o czym jeszcze dziadek mógł w tamtym momencie myśleć. Zauważywszy jego ruch, uniosłem głowę. Dziadek położył dłoń na moim kolanie. Z zaskoczeniem dostrzegłem w jego oczach łzy.

– Chłopcze – powiedział nieco zachrypniętym głosem – od teraz łączy nas jeszcze jedna rzecz. Żaden z nas nie ma już matki.

Uściskał moje kolano. Myśląc o tym, co właśnie powiedział, z trudem przełknąłem ślinę.

Wtedy zaczął opowiadać. Rzadko kiedy słyszałem, by dziadek mówił tak wiele – z wyjątkiem wizyt sąsiadów czy dyskusji z wujkiem Charliem.

– To zabawne, że wspomnienia o niektórych rzeczach pozostają tak świeże, jak gdyby wydarzyły się one wczoraj. Nie myślałem o nich przez lata, ale jednak ciągle były w mojej pamięci, czekając na moment taki jak ten.

Na chwilę zamilkł, pogrążając się w myślach.

– Twoja prababcia była drobną kobietą, ale niewielką posturę nadrabiała charakterem.

Zachichotał. Było to nieco dziwne: łzy na jego opalonych, zniszczonych słońcem i wiatrem policzkach w połączeniu ze śmiechem wydobywającym się z jego ust.

– Miałem wtedy może pięć lat. Na pustej działce obok naszego domu rosło jedno stare drzewo, na które bardzo lubiłem się wspinać. Pewnego razu siedziałem na jego gałęzi, pogrążony w swoim własnym, wymyślonym świecie, gdy nagle na dole pojawiły się psy sąsiadów. Nie zwracałem na nie uwagi, ale ponieważ było gorąco i chciało mi się pić, zdecydowałem,

że wracam do domu. Zacząłem ześlizgiwać się z drzewa, ale jeden czarny kundel, którego nigdy wcześniej nie widziałem, nie chciał pozwolić mi zejść. Krzyczałem i płakałem do zdarcia gardła, ale byłem zbyt daleko od domu, by ktokolwiek mnie usłyszał. Mama – gdy to słowo wypłynęło z jego ust z taką łatwością, zrozumiałem, że dziadek naprawdę zanurzył się w swoich chłopięcych wspomnieniach – czekała na mnie z obiadem i była zła, że znów się spóźniam. Kiedy jednak zaczęły upływać kolejne godziny, a ja dalej nie wracałem, zaczęła się martwić i postanowiła mnie poszukać. Gdy spojrzała na drzewo i zobaczyła warującego pod nim psa, zrozumiała, co się działo. Wzięła z podwórza sąsiada kij baseballowy i odważnie ruszyła pod drzewo. Ciągle mam przed oczami jej małą postać trzymającą w ręku drąg, który niemal płonął od jej złości – taka była wściekła! Cóż, w każdym razie kundel szybko się przekonał, że nie ma z mamą szans. Nigdy więcej nie widziałem już tego psa na oczy.

Dziadek ponownie się zaśmiał.

– Niesamowite, że kobieta, jeśli wymaga tego sytuacja, może być odważna jak cały pułk wojska, a mimo to pozostaje tak delikatna. Twoja prababcia była jedną z najmilszych i najbardziej łagodnych osób, jakie kiedykolwiek spotkałem. Musnięcie jej dłoni wystarczyło, żeby wyleczyć cię z gorączki. A kiedy brała cię w ramiona, wykąpanego i gotowego do snu, i siadała w bujanym fotelu, trzymając blisko i kołyszac się w przód i w tył, nucąc starą pieśń kościelną i całując twoje włosy...

Dziadek przerwał i z trudem przełknął ślinę, a po jego policzku spłynęła kolejna łza.

– A niech to – powiedział. – Wiedziałem, że jestem na to za duży, ale dopóki nie przytąpał mnie na tym żaden znajomy dzieciak... Czułem się taki kochany. W końcu jednak przyszedł taki dzień, kiedy nie mogłem już dłużej dawać się przytulać i kołysać. Brakowało mi tego... I mamie chyba też. Często widziałem, jak patrzyła na mnie z dziwną tęsknotą w oczach. Gdy wyciągała dłoń, wydawało mi się, że zaraz posadzi mnie sobie na kolanach, ale ostatecznie kładła ją na mojej głowie, mierzwiąc mi włosy i rugając za brudne nogi czy rozdarte ogrodniczki.

Dziadek zupełnie zapomniał o pojeździe, który miał prowadzić, a konie wykorzystywały wolność, jaką im dawał, stąpając tak powoli, jak tylko potrafiły. Stara, od zawsze uparta Bell przesunęła się możliwie najdalej na swoją stronę drogi – a akurat nie była to strona właściwa. Co jakiś czas schylała się, by podkraść kawałek trawy, nawet się przy tym nie zatrzymując. Nellie również wydawała się zadowolona z wolnego tempa jazdy.

Obserwowałem konie i rzucałem ukradkowe spojrzenia na dziadka, zastanawiając się, kiedy w końcu zareaguje. Odniosłem jednak wrażenie, że zapomniał nawet i o *moim* istnieniu.

Przestał mówić, ale widziałem po zmieniającym się wyrazie jego twarzy, że dalej rozmyślał o dawnych czasach. Jego wspomnienia były przeważnie wesołe, lecz świadomość, że nigdy się już nie powtórzą, wzbudzała w dziadku smutek.

Nagle oprzytomniał i zwrócił się do mnie.

– Wspomnienia do cudowna rzecz, chłopcze. Kiedy ktoś, kogo kochasz, odchodzi, kiedy szczęście przemija, zawsze

pozostaje ci pamięć o nich. Dziękujmy Bogu za ten wyjątkowy dar, który pozwala nam na nowo przeżywać to, co już minęło. Myślę, że nie da się przecenić wartości wspomnień.

Przyszła mi do głowy nowa myśl i nagle doznałem złości, frustracji i poczucia krzywdy. Wiedziałem, że dziadek ma rację. Do tej pory niewiele myślałem o wspomnieniach, od czasu do czasu jednak budziło się we mnie coś, co szukało odpowiedzi na pytania, które mnie przerastały. W tamtym momencie poczułem, jak gdyby dziadek podsunął mi wyjaśnienie. Po przeczytaniu swojego listu powiedział, że teraz łączy nas utrata matki. To prawda. Ale już w momencie, kiedy o tym mówił, wiedziałem, że jest między nami jakaś różnica. Teraz, słuchając jego słów, nagle zrozumiałem, na czym ona polegała: chodziło właśnie o wspomnienia. Albo raczej, jeśli idzie o mnie, o ich brak. Dziadek mógł całymi godzinami opowiadać o tym, co zapamiętał z dzieciństwa: o twarzy swojej matki, o jej uśmiechu, jej zapachu, dotyku. Ja zamiast wspomnień miałem wielką białą plamę; jedynie imię.

– Miałaś kiedyś matkę, chłopcze. Na imię miała Agata. Takie ładne imię, Agata.

Czasami, nie mogąc zasnąć w nocy, leżałem próbując przyporządkować do tego imienia jakąś twarz, ale nigdy nie potrafiłem jej sobie wyobrazić. Kiedy byłem młodszy, obserwowałem twarze różnych pań, a natrafiwszy na jakąś, która mi się spodobała, udawałem przed sobą, że tak właśnie wyglądała moja mama. Przez dwa lata na przykład wmawiałem sobie, że moja mama wyglądała jak żona bankiera z miasta. W końcu jednak zrozumiałem, jak śmieszny byłem i zmusiłem się do

przerwania tej głupiej gry. A teraz dziadek siedział obok mnie, dziękując Bogu za wspomnienia.

Poczułem w środku ukłucie złości na Boga. Dlaczego wydawało Mu się, że w porządku będzie zabrać moich rodziców, kiedy byłem jeszcze małym dzieckiem, i nie zostawić mi choćby wspomnień, jak innym ludziom? Czy nie wystarczyło, że musiałem dorastać bez mamy, która by mnie przytulała i taty, który zabierałby mnie na ryby?

Nie potrafiłem nawet spojrzeć na dziadka. Bałem się, że przejrzy mnie na wylot i wyczyta mi z twarzy te wszystkie okropne rzeczy, o jakich myślałem. Zamiast tego patrzyłem więc na konie. Stara Bell poczęstowała się kolejną porcją trawy, ale tym razem zrobiła błąd próbując złapać drugą kępkę z tego samego miejsca. Nellie jakby szarpnęła uprzęży, bo tylko ona ciągle szła – o ile można było to tak nazwać. W każdym razie dziadek w końcu oderwał się przez to od swoich wspomnień i zwrócił uwagę na konie. Nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Nigdy nie pozwalał im na taką samowolkę. Szarpnął lejcamy uderzając Bell w jej okrągły szary zad, przez co przestraszona wypuściła z pyska ostatnią kępkę trawy.

Po chwili zwierzęta wróciły już na dobrą stronę drogi, zwa-wo ciągnąc za sobą powóz.

Dziadek zwrócił się do mnie z głupawym uśmiechem.

– Jeśli się nie pospieszymy, spóźnimy się na kolację i dostanie nam się od Lou!

Uśmiechnąłem się słabo w odpowiedzi, ponieważ ciągle czułem się trochę zły i oszukany przez życie. Poza tym obaj wiedzieliśmy, że to, co powiedział, nie było prawdą. Ciocia Lou

nigdy się nie złościła, gdy spóźnialiśmy się na obiad. Może dlatego wszyscy trzej – dziadek, wujek Charlie i ja – zawsze staraliśmy się przyjść na czas. Chyba myśleliśmy o cioci Lou jako o kimś wyjątkowym. I nie zdając sobie z tego do końca sprawy, wszyscy próbowaliśmy oszczędzić jej dodatkowych kłopotów.



ROZDZIAŁ 2

Zmiany

DZIADEK, JAK MIAŁ TO w zwyczaju po wieczornym posiłku, kazał mi przynieść Biblię, żebyśmy wszyscy zebrali się na, tak zwany przez niego, czas rodzinnej modlitwy. Ogólnie wydawało mi się to dość nudne – słuchanie wszystkich tych historii o Panu Bogu, który jest naszym pasterzem, i innych opowieści z zamierzchłych czasów.

Tego wieczora podczas czytania dziadek wydawał się być w nieco innym nastroju niż zwykle. Pewnie z powodu listu od ojca. W każdym razie ja też czułem się przez to trochę dziwnie.

List otrzymany przez dziadka był zaledwie jedną z pierwszych rzeczy, które sprawiły, że pomału zacząłem zdawać sobie sprawę z różnych komplikacji, jakie przytrafiają się w życiu – przede wszystkim w życiu pewnego Joshuy Chadwicka Jonesa. Kolejna stresująca sprawa wynikła jeszcze tej samej nocy, po tym, jak odesłano mnie do łóżka.

Teoretycznie powinienem był chodzić spać o dziewiątej, ale nigdy nie szedłem do siebie po wybiciu tej godziny. Czekałem najpierw, aż dziadek powie: „pora spać, chłopcze”. I dopiero wtedy myślałem się w miednicy przy drzwiach i powoli wspinałem się po schodach do swojego pokoju.

Zawsze liczyłem na to, że któreś nocy dziadek będzie czymś zajęty i o mnie zapomni, ale nigdy tak się nie stało.

Tamtego wieczora wiedziałem jednak, że jego myśli były zaprzątnięte czymś innym. Przeczytał list od swojego taty ciotki Lou i wujkowi Charliemu. Ciocia Lou ze łzami w oczach objęła ich ramionami, mocno przytulając. Wujek Charlie niewiele mówił, ale byłem pewny, że tak jak dziadek wcześniej, przypominał sobie minione lata i znów poczułem ukłucie zazdrości.

Czekałem obserwując jak wskazówki zegara zbliżają się do godziny dziewiątej. Jeśli dziadek kiedykolwiek miał zapomnieć o odesłaniu mnie na górę, to właśnie ten dzień wydawał się najbardziej prawdopodobny. Tak się jednak nie stało.

– Chłopcze, pora spać – powiedział równo z wybićciem dziewiątej.

Westchnąłem głęboko. Myślałem, że uda mi się wykraść kilka dodatkowych minut, tak jak Bell po drodze podkradła kilka garści letniej trawy. Ale się nie udało.

Zająłem się więc przygotowywaniem do snu. Gdy wchodziłem na schody, usłyszałem głos ciotki Lou.

– Ja też już pójdę, tato. – Pochyliła się i pocałowała dziadka w policzek. – Dobranoc, wujku Charlie.

Otrzymawszy krótkie skinienie głową od wuja, Lou wspięła się razem ze mną po schodach. Idąc położyła dłoń na moim ramieniu.

– Już niedługo – powiedziała – będę musiała sięgać wyżej, żeby położyć ci rękę na ramieniu. Strasznie szybko rośniesz, Josh. Popatrz na te ogrodniczki – znów są za krótkie!

W ustach cioci Lou fakt mojego wyrośnięcia z ogrodniczek zabrzmiał jak jakieś wielkie osiągnięcie, więc tylko się uśmiechnąłem.

– Dobranoc, Josh.

– Dobranoc.

Położyłem się, ale nie mogłem zasnąć. Wierciłem się i kręciłem. I miałem wrażenie, że wszystko kręci się i wierci także w moim wnętrzu. W końcu pomyślałem, że może potrzebuję szklanki wody. Normalnie dziadek nie był zbyt pobłażliwy dla tej wymówki, ale stwierdziłem, że ten jeden raz może mi się upieć.

Mój pokój znajdował się zaraz przy wejściu na schody, które prowadziły prosto do kuchni. Wiedziałem, że jeśli zejść na dół, zastanę dziadka i wujka Charliego siedzących przy stole, pijących ostatni kubek kawy przed snem i pograżonych w przyjaznym milczeniu lub rozmowie na temat tego, co należało omówić.

Przybrałem minę najbardziej niewinnego małego chłopca, na jaką było mnie stać, i zacząłem schodzić. Zatrzymałem się jednak na dźwięk dyskutujących głosów.

– Wydaje mi się, że to jedyne, co możemy zrobić – powiedział dziadek.

Usłyszałem siorbanie. Wiedziałem, skąd dobiegało. Wujek Charlie słynął z tego, że potrafił wypić kubek gorącej kawy szybciej niż ktokolwiek inny. Niewielkie osiągnięcie, ale zawsze coś. Często obserwowałem, jak wujek wychyla kolejną filiżankę i zastanawiałem się, czy właśnie pobił swój własny rekord. Przed przełknięciem parzącego napoju zawsze zasysał powietrze, wydając zabawny, podobny do gwizdania dźwięk. To zassane powietrze miało chyba za zadanie ochładzać kawę, ale nie jestem pewien.

Teraz właśnie usłyszałem ten odgłos i w wyobraźni widziałem już parujący kubek, który zbliżał się do ust wujka Charliego. Wujek bez wątplenia siedział odchyłając się nieco na krzesło, które opierało się tylko na tylnych nogach. Podobno, jak mi mówili, kiedy próbowałem naśladować wujka, to było niedobre dla krzesła, ale nikt nigdy nie upomniał wuja Charliego za to, że tak robił.

Następnie dobiegł mnie dźwięk kubka odkładanego na stół i przednich nóg krzesła łagodnie opadających na drewnianą podłogę kuchni.

– Myślisz, że się na to zgodzi?

– Nie wiem. Jest taki uparty i samodzielny. Pamiętasz zresztą tak samo, jak ja. Ale teraz może byłby przychylny takiej zmianie. Będzie okropnie samotny. Wiesz, ile dla niego znaczyła.

W tamtym momencie odechciało mi się już pić. Usiadłem cicho na schodach. Poczułem, jak po całym ciele przebiega mi dreszcz. Wszystko się zmieniało. Nie wiedziałem, dlaczego ani w jaki sposób miało to na mnie wpłynąć, ale wiedziałem, że mi się to nie spodoba.

– Cóż, musimy przynajmniej spróbować. Nie możemy zostawić go tam samego. Jutro pojedę do miasta i zadzwonię do niego z telefonu Kirka. Trochę minie, zanim wszystko pozajątwia, ale naprawdę wolałbym, żeby zamieszkał z nami. Tyle tu wolnego miejsca. Nie widzę powodu, dla którego nie miałby wprowadzić się choćby zaraz.

– Pewnie masz rację.

Domyśliłem się, że musieli mówić o pradziadku. Był w końcu bardzo stary. W mieście widywałem nieraz starszych ludzi, powłóczących nogami po ulicach, słabych i z oczami zachodzącymi mgłą. Czasami trzech lub czterech staruszków gromadziło się na ławce przed stajnią, siedząc tak, rozmawiając i żując tabakę, która kapała z ich starych, trzęsących się podbródków i zostawiała plamy na ich koszulach. Nie umiałem chyba dobrze wyrazić tego słowami, ale nie podobał mi się pomysł, by miał do nas przyjechać stary człowiek – nawet jeśli miałby to być mój pradziadek. Nie chciałem już dłużej słuchać tej rozmowy, lecz równocześnie nie potrafiłem wstać i wrócić do siebie.

– Wydaje mi się, że coś cię gryzie – powiedział dziadek do wujka Charliego. – Nie uważasz, że ojciec powinien tu przyjechać?

Wujek Charlie poruszył się nerwowo.

– Cóż, ktoś na pewno musi się nim opiekować, i, hmm, chciałbym go zobaczyć. Minęło tak dużo czasu... Ale zastanawiam się, czy może... może powinienem wrócić na Wschód i zająć się nim na miejscu.

Dziadek zdawał się zaskoczony sugestią wujka; ja na pewno byłem. Nie potrafiłem wyobrazić sobie, jak wyglądałoby życie bez wujka Charliego.

– Chcesz wrócić do domu?! – wykrzyknął dziadek.

– Nie, na litość! – odparł wujek podnosząc głos, jak gdyby sądził, że dziadek musiał być głupi, by w ogóle o tym pomyśleć.

– Uważasz, że dla taty taka podróż to zbyt dużo?

– Jego list wskazuje na to, że raczej wszystko z nim w porządku.

– Więc co...

– Lou.

– Lou?

– Tak, Lou.

– Lou nie miałyby nic przeciwko.

– Nie, nie miałyby. O to właśnie chodzi. A powinna mieć.

– Obawiam się, że nie rozumiem.

– Danielu, czy znasz jakąś inną siedemnastolatkę, która zajmuje się dużym domem, ogrodem, kurczętami, dwoma starszymi panami i chłopcem?

Po chwili ciszy wujek Charlie kontynuował:

– A teraz chcemy dodać do tego jeszcze jednego starca. To niesprawiedliwe, to po prostu niesprawiedliwe. Powinna się bawić i...

– Ona nie lubi chodzić na zabawy – przerwał mu dziadek.

– Oczywiście, że nie lubi. Bo nigdy nie miała ku temu okazji. Odkąd tylko skończyła bawić się lalkami, nie robi nic poza pieczeniem chleba i szorowaniem podłóg.

Zapadło milczenie.

– Myślisz, że Lou jest nieszczęśliwa? – przerwał je dziadek.

– Pewnie, że jest szczęśliwa! – parsknął Charlie. – Lou za bardzo przejmuję się innymi, by *nie* być szczęśliwą. Wie, że gdyby nie była szczęśliwa, odbiłoby się to na nas wszystkich. Nie zrobiłaby tego żadnemu z nas.

Dziadek westchnął ciężko, jakby nagle dała mu się we znaki jakaś stara rana. Wstał i usłyszałem brzęk dzbanka do kawy. To znaczyło, że jest naprawdę przejęty. Dziadek nigdy, przenigdy nie pijał więcej niż filiżankę kawy przed snem, a w tym momencie słyszałem, jak nalewał sobie i wujkowi kolejny kubek.

– Masz rację – powiedział w końcu. – Lou nie ma z nami łatwo.

– Skończy się na tym, że przejdzie prosto od zajmowania się naszym domem do zajmowania się innym. – Przerwał na chwilę. – I może do tego dojść zanim się obejrzymy.

– Lou? Toż to jeszcze dziecko!

– Jakie tam dziecko! Niedługo skończy osiemnaście lat. Jak może pamiętać, jej matka i babka były już w tym wieku mężatkami.

– Nigdy nie myślałem, że Lou...

– Za to inni myśleli. Za każdym razem, kiedy jedziemy do miasta, czy to załatwić jakieś sprawunki, czy do kościoła, widzę jak te młokosy wlepiają w nią wzrok i próbują prowokować jej uśmiech czy choćby skinienie głowy. Któregoś dnia ona też to zauważy.

Dziadek poruszył się niespokojnie na krześle.

– Jest ładną dziewczyną.

– Oczywiście, że jest – te duże niebieskie oczy i uśmiech.

Gdybym był młody, nie czekałbym aż tyle, co ci chłopcy.

Ledwie wujek Charlie dokończył ostatnie zdanie, dziadek ze złością uderzył pięścią w stół.

– Niech to szlag, Charlie, byliśmy ślepi. Lou zbliża się pomału do wieku odpowiedniego dla zamążpójścia, a myśmy w ogóle nic w tym kierunku nie zrobili.

– A co twoim zdaniem *powinniśmy* byli robić?

– Tak jak powiedziałeś, w końcu, być może nawet całkiem prędko, do tego dojdzie. Musimy poszukać kogoś, kto będzie dobry dla Lou. Nie oddam mojej córki w ręce pierwszego lepszego przystojniaczka, jaki się przypałęta.

– Nie ufasz Lou?

– Słuchaj! Obaj dobrze wiemy, że Lou zobaczyłaby coś dobrego w najgorszej kanalii! Gdyby zaczął się do niej zalecać ktoś niewłaściwy, skąd taka niewinna dziewczyna jak Lou miałaby wiedzieć, co się kryje za ładną buzią? My znamy życie trochę lepiej, Charlie. Wiemy, kto byłby dla niej właściwy. Musimy się tym zająć i upewnić, że Lou trafi na właściwego chłopca.

– I jak mielibyśmy to zrobić?

– Tak dokładnie jeszcze nie wiem, ale znajdziemy sposób. Podaj no jakiś papier, Charlie, a ja poszukam ołówka.

– Po co?

– Musimy pomyśleć i zrobić listę. Nie możemy być nieprzygotowani.

Wujek Charlie zrzędził pod nosem, ale słyszałem, jak zrywa z kalendarza kartkę z minionym miesiącem i wraca do stołu.

– Znajdźmy jakiś system – powiedział dziadek. – Zaczniemy od południa, potem przejdziemy na zachód, północ i wschód, łącznie z miastem.

– Na początku Wilkinsowie – nie ma tam żadnych dorosłych chłopców. Petersonowie – same dziewczęta. Turley’owie – najstarszy dobiega chyba dwudziestki, ale jest taki nieśmiały...

– I leniwy. Palcem by nie ruszył, gdyby nie musiał.

– Wpisz go na listę nieodpowiednich.

Usłyszałem dźwięk ołówka bazgrzącego na papierze, i wyobraziłem sobie imię Jake’a Turley’a zapisane na odwrocie kartki z kalendarza pod hasłem „nieodpowiedni”.

– Crawfordowie – mają dwóch synów: Eba i Sandy’ego.

– Eb ma już dziewczynę.

Skrobanie ołówka oznaczało eliminację kolejnego kandydata.

– Sandy?

– Jest uparty jak...

– Skreśl go.

– Haydonowie?

– Mają Milta.

– Co o nim myślisz?

– Pracowity.

– Niezbyt przystojny.

– Wygląd to nie wszystko.

– Miejmy nadzieję, że Lou o tym wie.

– Nie byłby taki zły, gdyby nie te krzywe zęby.

– Zęby Lou są takie ładne i proste.

– Pewnie wszystkie ich dzieci miałyby krzywe zęby po ojcu.

Znów dobiegł mnie dźwięk ołówka kreślącego po papierze, i nie musiałem się zastanawiać, na którą stronę trafiło imię Milta. Nasłuchałem się już dość. Właśnie miałem podnieść obolałe już pośladki ze stopnia i wrócić do swojego łóżka, gdy usłyszałem wujka Charliego.

– Wciąż nie ustaliliśmy, co z tatą.

– W takiej sytuacji nie będzie problemu – odparł dziadek.

– Trochę minie, zanim tata tu przyjedzie, a do tego czasu Lou zdąży wyjść za mąż i założyć własny dom. Nie będzie musiała opiekować się trzema staruszkami. Jakoś damy radę. Jak zawsze.

– Tak, chyba tak – powiedział po krótkim chrząknięciu wujek Charlie.

Potem zajęli się kolejnymi chłopcami z okolicy, a ja wróciłem na górę.

Nieprzyjemne ukłucie niepokoju, które czułem wcześniej, teraz rozchodziło się po całym moim ciele. Wiedziałem, że nasza rodzina była nietypowa, ale zawsze trzymaliśmy się razem. Dobrze nam się ze sobą żyło, i byłem na tyle naiwny, iż wydawało mi się, że tak już zostanie. Nagle jednak, bez żadnego ostrzeżenia, wszystko to miało ulec zmianie. Tak po prostu musiałem pogodzić się z tym, że zamiast cioci Lou będzie ze mną mieszkał stary, trzęsący się pradziadek, którego nigdy wcześniej nawet nie widziałem na oczy. Średnia zamiana.

Zacząłem kierować się do swojego pokoju, ale po chwili zmieniłem zdanie. Nie mogłem oprzeć się pokusie zajrzenia do sypialni na końcu korytarza, należącej do cioci Lou. Zatrzymałem się przed uchylonymi drzwiami. Słyszałem, jak miękko oddycha. Lekko pchnąłem drzwi i wślizgnąłem się

do środka. Księżyc za oknem oświetlał twarz cioci Lou tak, że mogłem dokładnie jej się przyjrzeć. Rzeczywiście była ładna! Nigdy wcześniej o tym nie pomyślałem. Nigdy tak naprawdę nie zastanawiałem się nad jej urodą. Dla mnie była po prostu ciocią Lou. Zawsze była z nami. Choć nigdy nie analizowałem tego, ile dla mnie znaczyła. Teraz jednak, kiedy mogłem ją stracić, zdałem sobie sprawę, że była dla mnie *wszystkim* – matką, której nigdy nie miałem, starszą siostrą, towarzyszką zabaw, najlepszą przyjaciółką. Wszystko to i jeszcze więcej zawierało się w cioci Lou niczym w małym, zgrabnym, mierzącym zaledwie sto sześćdziesiąt centymetrów wzroście opakowaniu.

Przełknąłem gulę, która wyrosła mi w gardle, ale nie potrafiłem powstrzymać łez ciekących po policzkach. Otarłem je wściekły na samego siebie.

Ciocia Lou spokojnie spała, podczas gdy na dole dwóch mężczyzn decydowało o tym, z kim miała spędzić resztę życia. A była przecież taka potulna, że na pewno nie miałaby im tego za złe. Chyba że...

Powoli wycofałem się z jej pokoju i na palcach wróciłem do swojej sypialni, ostrożnie omijając deskę, która zawsze wydaje skrzypiący dźwięk, gdy się po niej przechodzi. Wujek z dziadkiem wciąż gadali. Zamknąłem drzwi odgradzając się od ich głosów i wróciłem pod kołdrę. Dopiero teraz poczułem, jaki byłem zmęczony. Podciągnąłem pościel pod samą brodę.

Na pewno istniał jakiś sposób, żeby temu wszystkiemu zapobiec. Na pewno! To nie było łatwe, i wiedziałem, że będę musiał intensywnie się nad tym zastanowić, ale byłem przekonany, że jeśli się wysiłę, znajdę rozwiązanie.

Walczyłem ze snem, a moje myśli zaczęła spowijać mgła. Musiałem to odłożyć na później. Nagle jednak do głowy przyszedł mi nowy pomysł. Modlitwa! Zmówiłem już swój wieczorny pacierz, jak uczyła mnie tego ciocia Lou, ale ten miał być dodatkowy. Nie jestem pewien, o co już prawie w północy prosiłem Boga, lecz wydaje mi się, że brzmiało to mniej więcej tak:

– Dobry Boże. Wiesz, co dziadek z wujkiem planują dla cioci Lou, ale ja chcę, żeby została z nami. Zabrałeś mi mamę i tatę. Nie zostawiłeś mi nawet żadnych wspomnień. Musisz mi teraz pomóc zatrzymać ciocię Lou. A co do pradziadka, może znajdziesz mu jakąś nową żonę, nawet na stare lata, żeby nie musiał przyjeżdżać do nas. Albo mógłby umrzeć w podróży pociągiem czy coś w tym stylu. W każdym razie, proszę Cię, Boże, zrób co tylko możesz. Jesteś mi to tak jakby winny za to wszystko, czego mnie pozbawiłeś. Amen.

Zadowolony z tego, co udało mi się wymyślić, z powrotem wpełzłem do łóżka. Nie byłem pewien, czy Bóg przywiąże do mojej modlitwy jakąś większą wagę, ale mimo wszystko spróbowałem. Postanowiłem, że jutro opracuję jeszcze jakiś plan na wypadek, gdyby Bóg nie chciał jednak wyświadczyć mi przysługi.

Zasypiałem słuchając podnoszących się i cichnących głosów mężczyzn, którzy opracowywali swoją listę kandydatów. Zastanawiałem się, czy znaleźli już kogoś, kto trafiłby na drugą kolumnę kartki, pod hasło: „odpowiedni”. Potem przewróciłem się na drugi bok i zasnąłem.



ROZDZIAŁ 3

O Lou

MIMO ŻE WSZYSTKO TO WYDARZYŁO SIĘ ZALEDWIE dzień wcześniej, siedząc na mojej kłodzie nad rzeką miałem wrażenie, że było o wiele bardziej odległe i niemal nieprawdziwe, a jednocześnie takie namacalne i przerażające. Musiałem się tym chwilę pomartwić i znaleźć rozwiązanie.

Jak wiele razy wcześniej, pomyślałem wtedy, że chciałbym mieć psa. Wydawało mi się, że dzięki samej obecności drugiej istoty wszystko byłoby łatwiejsze. Nie miałem jednak psa, więc musiałem dać sobie radę sam.

Zazwyczaj z wszelkimi problemami udawałem się do cici Lou, ale tym razem wiedziałem, że nie mogę z nią o tym porozmawiać. Z jednej strony tak strasznie chciałem ją ostrzec, co się dzieje, lecz z drugiej – za wszelką cenę pragnąłem chronić ją przed ohydną prawdą. Lepiej dla niej, żeby nie wiedziała.

Powinienem chyba zresztą opowiedzieć nieco o ciciu Lou i wyjaśnić, dlaczego jest starsza ode mnie tylko o pięć lat. Niedługo po tym, kiedy dziadek poznał moją babcie i zakochał się w tej pełnej życia, smukłej dziewczynie, wziął z nią ślub i został farmerem. Rok później na świat przyszedł ich synek, który każdemu, kto na niego patrzył, wydawał się mieszkanką obojga z nich. Posiadał karnację i posturę mojego potężnego dziadka, ale z usposobienia i rysów twarzy przypominał babcie.

Kiedy mój tata, któremu dali na imię Chadwick, miał trzy lata, babcie dopadła jakaś straszna choroba. Nigdy nie dowiedziałem się, co jej dokładnie dolegało, ale babcia była w bardzo ciężkim stanie, a dziecko, którego wówczas oczekiwali, zmarło zaledwie po dwóch dniach od narodzin. Dziadek – wraz z lekarzem – był tak zaaferowany utrzymaniem babci przy życiu, że utrata dziecka nawet do niego nie dotarła. Zaczął przeżywać żałobę dopiero później, gdy babcia wróciła do zdrowia i zapytała o niemowlę. Tak bardzo marzyła o córeczce, a po jej śmierci wylała całe morze łez. Lekarz martwił się, że babcia nie będzie w stanie znieść tego smutku, więc porozmawiał z dziadkiem.

Następnego dnia dziadek umył i ubrał mojego tatę w jego najlepsze ubrania, a następnie włożył sobie na ramiona i poszedł odwiedzić żonę. Nigdy nie wyjawiał, o czym z nią wtedy rozmawiał, ale podziałało – po tamtym dniu babcia odłożyła swój smutek na bok i robiła wszystko, żeby choć częściowo wrócić do zdrowia.

Czekało ją niezwykle ciężkie zadanie, lecz dała radę. Jak mówili niektórzy – zrobiła to jedynie dzięki własnej

niezlomnej woli. Mimo wszystko nigdy już nie była tą samą energiczną dziewczyną, z którą ożenił się mój dziadek.

Dziadek zaakceptował jej zmienioną osobowość, a dzięki długim rozmowom i silnej miłości sprawił, że babcia również zaakceptowała samą siebie. Ostatecznie pogodziła się z tym, że od tamtej pory musiała więcej odpoczywać, choć chwilę zajęło jej przyzwyczajenie się do nowego trybu życia.

Lata szybko mijały. Wkrótce mój tata stał się chudym chłopakiem, a później młodym mężczyzną. Pomimo dumy, która rozświetlała jej wzrok, gdy patrzyła na syna, babcia przez cały czas tęskniła jednak, by mieć córkę.

– Jeśli taka jest wola Boga, chcę zostać pobłogosławiona córką zanim odejdę z tego świata – oznajmiła w końcu.

Mój tata miał dwadzieścia lat, gdy na świat przyszła jego młodsza siostra. Babcia była wniebowzięta. Nazwała drobne niemowlę Louisą Jennifer – Jennifer po niej samej.

Mimo że jej modlitwy zostały wysłuchane, a marzenie spełnione, babcia już nigdy nie odzyskała dawnych sił. Najczęściej zajmowała się dzieckiem w swoim łóżku, wstając jedynie na krótkie chwile. Bardzo kochała moją ciocię Lou. Dziadek często powtarzał, że ciocia Lou musiała wyrosnąć na taką kochaną osobę, bo w dzieciństwie otrzymała tak wielką dawkę miłości.

Lou miała tylko dwa latka, gdy stan babci znów się pogorszył. Chad, mój tata, ożeniwszy się ze słodką, młodą Agatą Creycroft – moją mamą – postanowił założyć własne gospodarstwo. W tamtym czasie dziadek zaprosił wujka Charliego. Wujek przyjechał z ochotą i zdecydował się z nimi zostać.

Następnej zimy babcia zmarła, zostawiając niespełna trzyletnią Lou pod opieką dwóch mężczyzn: starszego niż większość ojców taty i wujka – starego kawalera.

Lou była dla nich prawdziwym promykiem radości. Babcia zawsze powtarzała, że Bóg wiedział co robi, odpowiadając na jej modlitwy. Lou była ich słońcem, ich szczęściem, centrum ich świata. Otoczona tak wielką porcją miłości i uwagi Lou mogłaby wyrosnąć na rozpieszczoną, ale tak się nie stało. Wręcz przeciwnie – Lou tym mocniej kochała i tym bardziej akceptowała innych.

Potem przyszedłem na świat ja. Farma moich rodziców znajdowała się tylko cztery mile od domu dziadka. Ledwie zacząłem się śmiać i gaworzyć, gdy moi rodzice zginęli w wypadku podczas pracy przy gospodarstwie. Stąd wujek i dziadek nagle dostali kolejne dziecko do opieki. Tym razem jednak mieli do pomocy pięcioletnią Lou, która pokochała mnie od samego początku.

Moje najwcześniejsze wspomnienia są związane właśnie z nią – tą dziwną na wpół kobietą, na wpół dziewczynką, której anielska twarzyczka pochylała się nad moją kołyską i uciśzała mnie, gdy płakałem. Dorastaliśmy razem. Była dla mnie zarówno rodzicem, jak i towarzyszką zabaw. Nie tęskniłem specjalnie za rodzicami, których nigdy tak naprawdę nie znałem; z wyjątkiem chwil, kiedy o nich rozmyślałem.

Moje dzieciństwo było raczej szczęśliwe. Gdy Lou szła do szkoły, zostawałem z dziadkiem lub wujem Charliem, nie mogąc doczekać się jej powrotu. Lou pokonywała większą część

drogi do domu biegiem, brała mnie w ramiona, nazywając słodkim Joshem lub jej kochanym chłopcem.

– Tęskniłeś za mną, słońce? – pytała. – Chodź, będziemy się bawić.

I bawiliśmy się, podczas gdy dziadek przygotowywał kolację, a wujek zajmował się gospodarstwem.

W końcu przyszedł taki dzień, gdy złapałem ciocię Lou za rękę i, dzieląc z nią pojemnik na śniadanie, ruszyłem do szkoły. To były szczęśliwe lata. W domu dwaj mężczyźni cieszyli się wolnością, jakiej nie zaznali od lat, a ja spędzałem cały swój czas z Lou.

Dziadek przywiązywał dużą wagę do okazywania odpowiedniego szacunku, więc w domu zawsze nazywałem ją ciocią, jednak w szkole umówiliśmy się, że będę wołał do niej po imieniu, by inne dzieci mi nie dokuczały.

Szkolne lata mijały bez problemu. Byłem dobrym uczniem, a kiedy tylko napotykałem na jakąś przeszkodę w nauce, pomagała mi Lou, która zawsze była jedną z najzdolniejszych dziewcząt w swojej klasie.

W miarę jak dorastaliśmy, dziadek wyznaczał nam coraz to nowe obowiązki. Lou przejmowała kolejne prace w domu, a ja pomagałem przy gospodarstwie. Nadal jednak wykorzystywaliśmy każdą wolną minutę na wspólną zabawę. Czasami, po długich namowach, godziłem się zbierać z Lou kwiaty, w zamian za co ona nosiła dla mnie wiadro podczas polowania na żaby. Często nawet łapała ich tyle samo co ja. Potrafiła wspinać się na drzewo nie gorzej niż chłopcy, dla wygody

wkładając spódnicę do pantalonów. Umiała też przeskakiwać po kamieniach i rzucać piłką.

Przyjmowała wyzwania, by przejść po najcieńszej belce ogrodzenia, i pokonywała w tej dziedzinie wszystkich chłopaków ze szkoły. Kiedy jednak zeskakiwała na ziemię i powracała do swojej roli „dziewczyny”, potrafiła przybrać minę pełną niewinności godnej księżniczki albo anioła, zachowując się tak uroczo i przyzwoicie, jak to tylko możliwe.

Gdy skończyła szkołę, musiałem każdego ranka chodzić do niej sam. Lou zostawała w domu, by zająć się gospodarstwem i nakarmieniem dwóch głodnych mężczyzn i dorastającego chłopca.

Teraz to ja pędziłem do domu po zakończeniu lekcji, dobrze wiedząc, że jeśli się pośpieszę, zdążymy jeszcze chwilę się pobawić, zanim przejdziemy do naszych obowiązków. Ciągłe umieliśmy wykorzystywać nasz wspólny czas do granic możliwości. Urządzaliśmy sobie krótkie wycieczki nad rzekę, gdzie leżeliśmy na brzuchach, strasząc płotki albo żółwie. Odwiedzaliśmy staw, nad którym przeskakiwaliśmy przez skały lub przewracaliśmy kamienie, by zobaczyć, kto z nas znajdzie pod nimi najwięcej robaków. Szukaliśmy ptasich gniazd uważając, żeby nie naruszyć spokoju ich mieszkańców. Bawiliśmy się w stogach siana, robiąc z nich zjeżdżalnie, które co prawda niszczyły ubrania, ale za to dawały mnóstwo radości. W zimniejsze dni opowiadaliśmy sobie historie, graliśmy w gry albo po prostu rozmawialiśmy.

Przez cały ten czas, gdy dorastałem obok cioci Lou, nigdy nie zastanawiałem się nad tym, jaką osobą tak naprawdę była.

Zwyczajnie była; potrzebna i moja. A teraz, zupełnie niespodziewanie, stała się dziewczyną, prawie kobietą, która mogła wyjść za mąż i zamieszkać z jakimś obcym mężczyzną.

Ponownie poczułem przyływ gniewu. Już go nienawidziłem – ktokolwiek by to był, nienawidziłem go. Wiedziałem, że muszę zrobić wszystko, co w mojej mocy, żeby do tego nie dopuścić. Nie miałem co prawda konkretnego pomysłu, ale byłem zdeterminowany, żeby pozbyć się każdego kandydata, jaki by się pojawił. Wszyscy ostatecznie musieli trafić na listę odrzuconych.

Zanurzyłem palce głębiej w mule. Woda zabulgotała pod moimi nogami. Tuż obok mnie mały żółw wystawił głowę ponad powierzchnię, a ja ze złością wepchnąłem go z powrotem do wody. Wiedziałem, że nie zrobiłem mu krzywdy, ale mimo to poczułem się odrobinę lepiej, mogąc wyładować na kimś przynajmniej część swojej frustracji.

Za moimi plecami rozległ się dźwięk miękkiego stąpania po ścieżce, i bez oglądania się za siebie wiedziałem, że były to kroki ciciu Lou. Tylko ona chodziła w ten sposób – delikatnie i szybko. Nie odwracałem się, próbując przywołać na twarz wyraz, który zazwyczaj widywała, żeby nie budzić podejrzeń. Usłyszałem, jak ściąga buty i wskakuje na kłodę. Złapała mnie za ramię dla równowagi, ostrożnie siadając obok i wkładając nogi do wody.

O niczym nie rozmawialiśmy; po prostu siedzieliśmy, machając nogami pod wodą. Lou podwinęła spódnicę, by nie zamoczyć jej rąbka. Wydawało się, że nieprędko zamierzała wracać do domu.

– Głodny?

Nagle do mnie dotarło: byłem strasznie głodny! Spojrzałem w górę, zaskoczony widokiem słońca, które zmieniło swoje położenie. Musiało już być po obiedzie. Powiniennem być wrócić całe wieki temu. Lou na pewno długo na mnie czekała. Zacząłem dukać przeprosiny i próbowałem wymyślić jakąś wymówkę, ale Lou mnie uprzedziła.

– Przyniosłam coś do jedzenia.

Wtedy zobaczyłem w jej ręku nasz dawny pojemnik na śniadanie.

– Tata i wujek Charlie pojechali do miasta. Chcieli jak najszybciej skontaktować się z dziadkiem. Spróbują do niego zadzwonić. Czy nie wydaje ci się dziwne, że można porozmawiać z kimś, kto znajduje się setki mil od nas? W każdym razie, jeśli nie uda im się go złapać, będą musieli wysłać telegram.

Opowiadając mi o tym wszystkim, ciocia Lou otworzyła pojemnik i podała mi go, żebym poczęstował się kanapkami. Ich widok sprawił, że aż pociekła mi ślina.

– Jejku – wyjęczałem, unikając tematu pradziadka – nie wiedziałem nawet, jaki byłem głodny. Dobrze, że przyszłaś, bo inaczej mógłbym umrzeć z głodu tu na miejscu i wpaść jak ten kamień do wody.

Ciocia Lou wydała z siebie łagodny chichot, jak gdyby to, co powiedziałem, było naprawdę śmieszne.

– Dobrze, że oszczędziłam zółwiom i rybom takiej katastrofy.

Przez chwilę oboje jedliśmy w milczeniu. W końcu jednak Lou je przerwała.

– Wiesz, że teraz, kiedy babcia nie żyje, tata zamierza zaproponować dziadkowi, by się do nas przeprowadził?

Kiwnąłem głową, licząc na to, że nie będzie dociekała, skąd to wiem. I nie dociekała.

– A co ty o tym myślisz? – zapytałem w końcu.

– O przyjeździe dziadka?

– Tak.

Wyjąłem kolejną kanapkę.

– Mam nadzieję, że z nami zamieszka. A ty?

Wzruszyłem ramionami.

– Sam nie wiem. Nie ma to chyba dla mnie znaczenia. To raczej ty będziesz musiała prac mu ubrania, gotować obiady i opiekować się nim, kiedy będzie za stary, żeby sam się sobą zająć.

– Dam sobie radę.

Odwróciłem się do niej.

– To stary człowiek, Lou. Naprawdę stary. To *mój pradziadek* – mój głos zabrzmiał ostro i niecierpliwie. – Równie dobrze mógłby być i twoim prapradziadkiem. Nie wiadomo, jak to będzie; może się ślini albo niedowidzi, albo ma artretyzm czy coś w tym stylu!

Lou odpowiedziała w typowy dla siebie sposób.

– Jeśli tak jest, tym bardziej potrzebuje naszej pomocy.

Ponownie skierowałem wzrok na wodę i mocniej machnąłem nogami. Lou nic nie rozumiała. Nie chciała. Była gotowa pozwolić im go tutaj przywieźć. A wtedy jedyną drogą ucieczki przed ciężarem zajmowania się nim, byłoby dla niej wyjście za mąż i wyprowadzka. Znów kopnąłem nogami w wodzie.

– Całe nogawki masz mokre, Josh – zauważyła Lou delikatnym tonem, jak gdyby stwierdzając fakt, ale tak naprawdę chciała mi dać do zrozumienia, że jej się to nie podoba.

– Przepraszam – wymamrotałem i przesunąłem się bardziej w tył, żeby moje nogi nie były tak głęboko w wodzie.

Lou nie dodała żadnego komentarza, podała mi tylko ciastka i jabłko.

– Coś cię gryzie, Josh?

– Gryzie?

– Martwisz się może, że dziadkowi nie będzie u nas dobrze?

To, czy dziadkowi się u nas spodoba, czy nie, było ostatnią rzeczą, o jakiej myślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Wzruszyłem jedynie ramionami.

Lou delikatnie ugryzła swoje jabłko.

– Myślę, że nie ma się czym przejmować. Tata trochę mi o nim opowiadał. Sądzę, że wszyscy będziemy się dobrze dogadywać.

– Może – odparłem bez przekonania.

Lou zamknęła pojemnik z jedzeniem.

– Powinniśmy się zbierać. Nie skończyłam prania – zostały mi jeszcze skarpetki. Och, nie znoszę szorowania skarpet!

Skrzywiła się, po czym wybuchnęła śmiechem. *Pewnie, pomyślałem, nienawidzisz szorowania skarpet, ale sama się prosisz o kolejną parę.* Niczego jednak nie powiedziałem.

– Tata kazał ci okopać jeszcze dwie grządki ziemniaków dziś popołudniu.

Podniosłem się z kłody wiedząc, że nikt tego za mnie nie zrobi. Lou włożyła buty i razem ruszyliśmy w stronę domu. Moje bose, a jej odziane, stopy zostawiały równoległe ślady na

piaszczystej ścieżce. Idąc, Lou nuciała pod nosem i energicznie wymachiwała pojemnikiem.

– Lou?

– Tak?

Zawahałem się.

– Nieważne – odparłem wreszcie.

Spojrzała na mnie, a jej duże niebieskie oczy stały się poważne i jeszcze bardziej niebieskie.

– Mów śmiało – zachęciła. – Jeśli chcesz mi o czymś powiedzieć, po prostu powiedz.

– Czy zamierzasz wyjść za mąż?

Lou gwałtownie się zatrzymała i zlustrowała mnie wzrokiem, jak gdybym postradał zmysły.

– Ja? – wskazała na siebie palcem.

– Tak.

– Skąd przyszło ci coś takiego do głowy? Przecież nikt nawet się do mnie nie zaleca. – Delikatnie się zarumieniła.

– Nie chodzi mi o to, że jutro, czy coś. Pytam tylko, czy w ogóle byś chciała?

– W ogóle? – na chwilę pograżyła się w myślach, potem zaśmiała się cicho. – Och, Josh, ty głuptasie.

Zmierzwiała moją czuprynę.

– Tak, pewnie tak. Może kiedyś wyjdę za mąż.

Strach mnie ścisnął za gardło. Blask w jej oczach świadczył o tym, że taka perspektywa jej się podoba. Zaraz po tym przyspieszyła kroku.

– Kiedyś może tak, ale na pewno jeszcze długo do tego nie dojdzie.

Powietrze powróciło do moich płuc.

– Jesteś pewna?

– Tak. Jeszcze o tym tak na poważnie nie myślałam. I na pewno nie jestem gotowa zajmować się kolejnym mężczyzną i kolejnym domem.

– Ale mimo to chcesz zajmować się pradziadkiem?

– To co innego – powiedziała Lou. Ton jej głosu brzmiał tak zdecydowanie, że byłem gotowy jej uwierzyć. – Dziadek jest nasz i będzie mieszkał z nami. Prawie nie odczujemy różnicy.

Chciałem jej wierzyć. Z całego serca chciałem w to wierzyć. Gdyby wszystko potoczyło się tak, jak mówiła, i pradziadek naprawdę dobrze czułby się w naszym domu i towarzystwie, być może wtedy dziadek i wujek Charlie zrozumieliby, że ciocia Lou wcale nie musi wychodzić za męża. Wszystko mogło się jeszcze ułożyć. Pomysł, że pradziadek miałby z nami zamieszkać, nadal niespecjalnie mi się podobał, ale przynajmniej nie miałem już wrażenia, że wszystkie moje wnętrzości skręcają się ze strachu.



ROZDZIAŁ 4

Poprawka

NIECO POCIESZONY ROZMOWĄ z ciocią Lou z determinacją przystąpiłem do pracy nad ziemniakami. Gdy powóz z dziadkiem i wujkiem Charliem powrócił z miasta, byłem już przy czwartym rzędzie. Wujek Charlie odprowadził konie do obory, a dziadek przyszedł do ogrodu sprawdzić, jak mi idzie. Ucieszył się widząc, ile zrobiłem. Poczułem przyływ dumy.

– Już wystarczająco się napracowałeś w tym słońcu, chłopcze. Zostaw resztę na jutro. Chodźmy zobaczyć czy ciocia Lou ma coś zimnego do picia.

Ruszyliśmy do domu, a po drodze dołączył do nas wujek Charlie. Nie zadałem im pytania, które tak bardzo cisnęło mi się na usta. Wiedziałem, że dziadek sam nam wszystko powie w takim czasie, jaki uzna za właściwy.

Lou postawiła dla nas na stole trochę zimnego mleka oraz duże ciastka z cukrem. Umyliśmy ręce w miednicy

i osuszywszy je szorstkim ręcznikiem, wszyscy trzej zasiedliśmy do stołu.

Spojrzałem na Lou; przeczuwałem, że chce poznać wszystkie szczegóły wycieczki do miasta. Jeśli dziadek sam nic nie powie, za chwilę ona zacznie zadawać pytania.

Dziadek wziął solidny łyk mleka. Lou zachowała na tyle cierpliwości, żeby poczekać, aż przełknie.

– Udało się z nim skontaktować?

Nie bawiła się w podchody. Zawsze była szczerą i bezpośrednią. Tak jak dziadek.

– Tak. Musiałem zadzwonić dwa razy. Co za wynalazek! Sam nie mogłem w to uwierzyć. Rozmawiałem z ojcem, który znajdował się setki mil stąd. Gdyby ktoś powiedział nam kilka lat wcześniej, że coś takiego jest w ogóle możliwe, całe miasteczko by go wyśmiało!

– Albo zamknęło w wariatkowie – dodał wujek Charlie.

– Dlaczego *dwa* razy? – zapytała ciocia Lou.

– Za pierwszym nie odebrał.

Lou traciła cierpliwość.

– Ale rozmawiałeś z nim w końcu? – nalegała.

– Oczywiście, obaj z nim rozmawialiśmy. Był bardzo zdziwiony. Powiedział, że poczuł się tak samotny, że mógłby od razu wskoczyć do pierwszego pociągu jadącego na zachód.

Nastała cisza. Dziadek spoglądał w dół na swoją szklanę z mlekiem, podobnie jak wujek, który obracał kubek swoimi dużymi palcami.

– Zamierza do nas przyjechać?

Wydawało się, że oboje z Lou wstrzymaliśmy oddech.

Dziadek podniósł wzrok.

– Tak, przyjedzie! Okropnie tęskni za mamą. Przyjedzie. Minie trochę czasu, nim pozałatwia wszystkie sprawy w domu, ale powinien być u nas jeszcze przed żniwami.

– Czy... czy brzmiał...? – wiedziałem, że moje pytanie było nieskładne. Chciałem wiedzieć, czy pradziadek brzmiał, jak gdyby wszystko ciągle było z nim w porządku, ale nie chciałem, żeby dziadek i wujek Charlie – albo Lou – domyślili się, o co mi chodzi. Jąkając się, zacząłem żałować, że w ogóle próbowałem się odezwać. Wujek Charlie zauważył, że wiercę się jakby oblażył mnie mrówki.

– Brzmiał dobrze, naprawdę dobrze. Jego głos jest wciąż silny i zdecydowany. Mówił o swoim ogrodzie – powiedział wujek Charlie z błyskiem w oku. – Chyba zrobił dziś nawet więcej, niż ty, Josh, a miałeś przecież taki pracowity dzień!

Poruszyłem się znów niespokojnie i sięgnąłem po kolejne ciastko, żeby tylko zająć czymś ręce. Byłem trochę zawstydzony, ale cieszyłem się, że o to zapytałem. Usłyszałem to, co chciałem usłyszeć – przynajmniej jeśli chodzi o zdrowie pradziadka, a nie o jego wycieczkę na zachód. Ta część dalej niespecjalnie mi się podobała. W każdym razie mieliśmy dopiero połowę lata, do żniw wszystko mogło się jeszcze zmienić – no, prawie wszystko.

– Jeśli pozwolicie – odezwałem się – pójdę dokończyć ten ostatni rząd.

Wychodząc czułem na sobie spojrzenia trzech par oczu, i wiedziałem, że wszyscy zastanawiają się, czy słońce rzeczywiście mi trochę nie przygrzało. Nigdy nie lubiłem okopywać

ziemniaków, i prawda jest taka, że w tamtym momencie również nie miałem na to zbyt wielkiej ochoty, ale to była jedyna wymówka, jaką potrafiłem wymyślić, by odejść od stołu. Przypuszczałem, że cała trójka dalej będzie rozmawiać o pradziadku, a ich miny i ton głosów wyraźnie wskazywały na to, że cieszą się na jego przyjazd. Ja nie podzielałem ich entuzjazmu i czułem się przez to gorszy. Nie potrafiłem tego jednak zmienić, więc wolałem uciec gdzieś, gdzie nikt nie będzie mnie szukał.

Pobiłem swój rekord w okopywaniu ziemniaków i jeszcze zostało mi kilka minut przed pozostałymi obowiązkami. Postanowiłem przejść się nad staw, by sprawdzić, jak miewają się kaczki, które założyły tam gniazdo.

Niedawno wykuło się w nim siedem malutkich kaczątek, którym bardzo szybko wyrastały nowe pióra. Za każdym razem, kiedy je widziałem, miały ich więcej.

Dopóki nie podchodziłem za blisko, moja obecność raczej im nie przeszkadzała. Zazwyczaj siadywałem na brzegu, opierając się o duże stare drzewo i do woli obserwowałem ich zabawy.

Tego dnia jednak nie przyniosło mi to radości. Pewnie byłem za bardzo przejęty innymi sprawami. Lou zdecydowanie nie miała nic przeciwko przyjazdowi pradziadka. Co więcej, wyglądała, jak gdyby się z tego bardzo cieszyła. Nie wiem, czy udawała, żeby sprawić przyjemność dziadkowi i wujkowi Charliemu, czy może jej radość była szczera. Jeśli naprawdę sądziła, że poszerzenie naszej rodziny o jeszcze jednego członka, choćby staruszka, było dobrym pomysłem, to może ja

również nie miałem powodów do obaw. Targały mną sprzeczne uczucia. Dopiero teraz, zdając sobie sprawę, że mogę ją stracić, zaczynałem rozumieć, jak ważna była dla mnie ciocia Lou.

Ruszyłem z powrotem w stronę obory, gdy nagle przypomniałem sobie o modlitwie z poprzedniej nocy. Może Bóg rzeczywiście zdecydował się wysłuchać takiego dzieciaka jak ja? Kiedy jednak zacząłem czuć się nieco lepiej, pomyślałem też o innej części mojej modlitwy. Jeśli Bóg wziął moje słowa na poważnie, to raczej nie był zadowolony ze wszystkiego, co mówiłem. Sumienie zaczęło mnie gryźć i zdałem sobie sprawę, że nie przestanie, dopóki nie poprawię swojej modlitwy. Zszedłem ze ścieżki w głąb lasu i przyklęknąłem.

– Drogi Boże – powiedziałem. – Chciałem Ci podziękować za to, że poświęciłeś tyle czasu i energii na wysłuchanie mojej modlitwy. Czy mógłbyś jednak, proszę, zapomnieć o tym, żeby pradziadek umarł w pociągu? Nic się chyba w końcu nie stanie, jeśli z nami zamieszka. I nie kłopotcz się też znalezieniem mu nowej żony. Tylko by ją tu ze sobą przywiózł, a tego na pewno nam nie potrzeba. Dziękuję. Amen.

Poczułem się trochę lepiej. Nie do końca wiedziałem, czy bardziej boję się Boga, czy tego, że moja rodzina może się jakoś dowiedzieć, że sprowadziłem ogień z nieba na mężczyznę, którego kochała i oczekiwała. Tak czy inaczej, wyjaśniłem to sobie z Bogiem, więc nie musiałem się już dłużej martwić.

Poszedłem do spichlerza, by wziąć trochę paszy dla świń, wyobrażając sobie, jak to często robiłem, że tuż obok mnie biegnie mój własny pies.

W mojej wyobraźni, dzisiaj był czarny z białymi plamami na brzuchu i oklapniętymi uszami. Jego sierść była kręcona, a puszysty ogon był uniesiony wysoko. Nazywał się Cień, ponieważ zawsze za mną chodził. Zajmując się swoimi obowiązkami, czasami beształem go za szczekanie na świnie, a potem szczułem nim wielkiego czerwonego byka. Cień ciągnął mnie za nogawki i prawie przewracał, kiedy płatał mi się koło stóp. Gdy karmiliśmy kurczęta, próbowałem go uciszać.

Dziadkowi być może nie spodobałaby się moja zabawa, ale dzięki niej praca na pewno stawała się przyjemniejsza. Nie mogłem przestać zastanawiać się, jakby to było, gdyby Cień był prawdziwym psem. Parę razy wspomniałem, że przydałby nam się na farmie dobry pies, ale dziadek chyba nie zrozumiał sugestii. Sam kiedyś miał psa, o którym często myślał. Jego pupil był strasznie stary, dożył aż piętnastu lat. Po jego śmierci, dziadek nie miał chyba serca, żeby przygarnąć następnego. Lubił psy, ale chyba sądził, że żaden inny pies nie wypełni pustki, jaką zostawił po sobie jego dawny towarzysz. Dlatego właśnie, nie chcąc smucić dziadka, ograniczałem się tylko do subtelnych aluzji. Mimo wszystko okropnie chciałem mieć swojego psa.



ROZDZIAŁ 5

Powrót niepokoju

LATO PRZEBIEGAŁO bez większych zmartwień. Żniwa były już za nami, a zbiory wyglądały całkiem dobrze. Zepchnąłem myśl o tym, co nieuchronnie miało się wydarzyć, w najdalszy kąt umysłu. Wydawało mi się, że mój świat pozostanie bez zmian tak długo, jak tylko będę sobie tego życzył – czyli prawdopodobnie na zawsze – aż tu nagle dziadek wyskoczył z nowinami.

Gdybym kiedyś nie podsłuchał jego wieczornej rozmowy z wujkiem Charliem, teraz pewnie nie zwróciłbym większej uwagi na to, co powiedział.

Pewnej gorącej niedzieli wracaliśmy do domu z kościoła. Gdyby nie delikatnie powiewający wiatr, upał byłby nie do zniesienia. Siedziałem na tyle wozu z bosymi stopami spuszczoneymi w dół, by mogły swobodnie kołysać się w trakcie jazdy. Zdjąłem niedzielne buty i skarpety kiedy tylko znaleźliśmy

się w odpowiedniej odległości od kościoła. Wtedy usłyszałem wymianę zdań między dziadkiem a ciocią Lou. Słowa dziadka obudziły moją czujność. Do tej pory byłem przekonany, że wraz z wujkiem Charliem zapomnieli już o planie wydania cioci Lou za mąż. To, co dziadek w tamtym momencie powiedział, uświadomiło mi jednak, że dalej o tym myśleli. Obróciłem się, by trochę lepiej słyszeć, co mówią.

– Czy miałabyś ochotę na jakieś towarzystwo, Lou? Już od dawna nikogo u nas nie było.

Dziadek wiedział oczywiście, że Lou nigdy nie miała nic przeciwko towarzystwu. Potrafiła gotować tak samo dobrze, jak najlepsze kucharki w okolicy. To dziadek i wujek Charlie zazwyczaj krzywili się na pomysł zaproszenia kogoś do domu.

Lou spojrzała na dziadka z wyrazem zainteresowania na twarzy – niczego nie podejrzewała.

– Oczywiście – odparła. – Byłoby miło! Masz kogoś konkretnego na myśli?

Och, pewnie, że tak! – mogłem wyręczyć dziadka w odpowiedzi, ale się powstrzymałem. Nasłuchiwałem za to, ciekawy, kto ostatecznie zdał egzamin dziadka i wujka Charliego.

– Może moglibyśmy zacząć od Rawleighów? Wydają się sympatyczni. Chciałbym ich lepiej poznać.

Niebieskie oczy Lou stały się większe, ale niczego nie powiedziała. Wyobrażałem sobie, jak jej myśli pędzą niczym w kołowrotku.

Tak się akurat składało, że pani Rawleigh była wdową, całkiem ładną, o ile kobiety w średnim wieku mogą być ładne. Miała tylko jedno dziecko, około dwudziestoletniego syna.

Zarządzali porządną, dobrze funkcjonującą farmą na wschód od nas. W przeszłości pani Rawleigh wynajmowała robotników do pomocy przy gospodarstwie, ale przez kilka ostatnich lat wszystkim zajmował się Jedd.

Wiedziałem, co chodziło po głowie Lou i mógłbym się założyć, że myślała o wdowie, a nie o jej synu. Próbowwała zapanować nad głosem, jednak kiedy się odezwała, usłyszałem w nim cień podekscytowania.

– Pewnie, to dobry... świetny pomysł. Kiedy konkretnie chciałbyś ich zaprosić?

Dziadek wydawał się zadowolony z siebie. Wszystko szło zgodnie z jego planem.

– Myślałem, że może w przyszłą niedzielę.

– Oczywiście. Tak, jak najbardziej w porządku.

Spojrzałem na Lou, ogarnięty strachem i złością. Ukradkiem spoglądała na dziadka. W jej oczach malowało się pytanie, ale też rozbawienie, i wiem, że chciała powiedzieć: *Och, ty stary lisie! I nigdy się z tym nie zdradziłeś!*

Nagle zachciało mi się śmiać. Pomyślałem, to może być nawet zabawne przedsięwzięcie: zrobię wszystko, żeby Jedd nie złapał się na przynętę dziadka. A nie będzie to łatwe zadanie, biorąc pod uwagę, jaka ta przynęta jest ładna!

Obserwowałem ciocię Lou. Wiedząc to, o czym wiedziałem, nigdy nie pomyślałbym o tym, o czym ona pomyślała. Doszedłem do wniosku, że nie zaszkodzi, jeśli do przyszłej niedzieli pomogę tym jej myślom się jeszcze nieco rozrosnąć.

Przez cały kolejny tydzień ciocia Lou przygotowywała dom i planowała obiad na niedzielną wizytę. Co najmniej cztery

razy zmieniała zdanie na temat tego, co ugotuje. Wypróbowywała nawet na nas różne desery. Wszystkie były pyszne i nie miałem nic przeciwko byciu jej królikiem doświadczalnym.

Przy każdej możliwej okazji rzucałem subtelne aluzje lub zadawałem jej naprowadzające pytania. Nie zawsze podążała za moim przebiegłym sposobem myślenia i czasami tylko przyglądała mi się badawczo. Mimo to, dalej pracowałem nad swoim planem.

– Nie wydaje ci się, że dziadek jest ostatnio dziwnie szczęśliwy? Wygląda jakoś inaczej... – Na co Lou odpowiadała, że to wszystko pewnie z powodu bliskiego przyjazdu pradziadka. Po kilku takich niezbyt udanych próbach, postanowiłem być nieco mniej subtelny.

– Od jak dawna pani Rawleigh jest wdową? – zagadnąłem, podkradając surowe ciasto z miski.

– Chyba jakieś jedenaście lat, może dłużej.

– Śmieszne.

– To śmieszne, że jest wdową?

– Nie. Że nikt nie do tej pory nie zauważył, jaka jest ładna, i się jej nie oświadczył.

– Z tego co słyszałam, paru próbowało, ale nie była zainteresowana.

– Naprawdę? Kto na przykład?

– Orvis Bixley.

– Orvis Bixley? Nic dziwnego, że nie była zainteresowana.

– Coś z nim nie tak?

– Jest stary.

– Może dla ciebie, ale nie jest wiele starszy od pani Rawleigh.

– Wygląda jakby był. Ona ciągle wygląda na młodą. I jest ładna.

– Już to mówiłeś.

– No tak. – Przez chwilę wylizywałem ciasto w milczeniu, a potem odsunąłem miskę na bok.

– Kto jeszcze? – dopytywałem.

– Kto jeszcze co?

– Kto jeszcze chciał ożenić się z panią Rawleigh?

Spojrzała na mnie pytająco, jak gdyby próbując domyślić się, do czego zmierzam. Unikałem jej wzroku.

– Nie wiem – odparła w końcu. – Chyba jeden z mężczyzn, których wynajęła do pracy. Nie wiem, jak się nazywał.

Nie wiedziałem, w jaki sposób przejść do sedna sprawy.

– Spodobałaby się *każdemu* – powiedziałem, kładąc nacisk na słowo „każdemu”. Odchodząc, czułem na swoich plecach świdrujące spojrzenie Lou.

Kilka godzin później Lou zrobiła sobie krótką przerwę, by sięść w cieniu naszego ganku i wyszywać wymyślne wzory na poszewkach. Wiedziałem, że jeszcze nie do końca wypełniłem swoje zadanie, ale miałem nadzieję, że przynajmniej dałem jej choć trochę do myślenia. Teraz od razu przeszedłem do rzeczy.

– Jak sądzisz, czy dziadek chciałby się jeszcze ożenić?

Szybko uniosła głowę znad robótki.

– Nie wiem.

– Ciekawe, dlaczego wcześniej tego nie zrobił.

– Pewnie był zbyt zajęty opieką nad nami.

Dokładnie to chciałem usłyszeć.

– Myślisz, że byliśmy samolubni?

– Samolubni? W jakim sensie?

– No cóż, gdyby nie my, dziadek mógłby jeszcze się ożenić i być szczęśliwy. – Próbowałem to powiedzieć w taki sposób, jakby dziadek nie miał żadnych szans na szczęście poza małżeństwem.

– Ma jeszcze dużo czasu przed sobą – powiedziała Lou w roztargnieniu. – Nadal jest na tyle młody, że mógłby przeżyć wiele szczęśliwych lat z kolejną żoną – gdyby chciał.

– A my nie bylibyśmy już dla niego przeszkodą?

– Nie sądzę, byśmy kiedykolwiek...

– Chodzi mi o to, że jesteśmy już na tyle duzi, i ty i ja, że gdyby dziadek rzeczywiście chciał się jeszcze ożenić, moglibyśmy sami się sobą zająć.

– Do czego zmierzasz? – Lou zmierzyła mnie podejrzliwym spojrzeniem.

– Cóż – zacząłem, a następnie powiedziałem coś, co było prawdą, choć nie do końca zgodną z tym, o co mi naprawdę chodziło. – Po prostu odniosłem wrażenie, że kiedy dziadek zaproponował obiad z Rawleighami w zeszłą niedzielę, chodziło mu o coś więcej niż tylko o zwykłą wizytę.

Wypowiedzenie tych słów przyszło mi z niemałym trudem. Lou zareagowała jednak dokładnie tak, jak na to liczyłem. Wyciągnęła do mnie dłoń z łagodnym uśmiechem na twarzy.

– Ty łobuzie! – powiedziała. – Niczego nie da się przed

tobą ukryć, co? Dobrze, że się tym nie martwisz. I tak nie wiadomo, czy coś z tego wyjdzie.

Zamyśliła się na chwilę.

– Czyli tata chce poznać panią Rawleigh trochę lepiej. Ja sama jej nie znam, ale jeśli podoba się tacie, to nie widzę przeszkód. Wydaje się miła. Jeśli – jeśli – tata jest nią zainteresowany, to my nie mamy nic do gadania. Zrobimy wszystko, żeby był szczęśliwy. Cieszę się, że sam o tym pomyślałeś. Teraz wiem, że mogę liczyć na twoją pomoc. Przede wszystkim, nie możemy na niego naciskać ani robić zamieszania. To tylko sprawi, że oboje będą skrępowani. Sami muszą to jakoś załatwić. Nie można ich w tym pospieszać. I pamiętaj, że dopóki tata jasno nie powie, jakie ma zamiary, będziemy udawać, że o niczym nie wiemy, dobrze?

– Dobrze – zgodziłem się.

– Martwi mnie tylko jedno.

– Co?

– Ten Jedd! Jak tylko pomyślę, że on może stać się moim bratem! – Lou skrzywiła się i wzdrygnęła. – Ale to będzie nasz sekret, w porządku?

Uśmiechnąłem się. Dla mnie jak najbardziej w porządku!

– Ja też nie specjalnie lubię Jeddą – przyznałem.

– No cóż, nie możemy dać mu tego odczuć.

Skinąłem głową, czując, jak gdybym brał na siebie jakieś poważne zadanie. Lou nie lubiła Jeddą. Ta wiadomość była dla mnie bardzo korzystna!

Gdy już miałem odetchnąć z ulgą, przez głowę przemknęła mi pewna zabawna myśl, za którą jednak pojawiło się uczucie

niepokoju. *A co, jeśli dziadek naprawdę zakocha się we wdowie Rawleigh?* Nagle zdałem sobie sprawę, że nie chcę stracić dziadka dokładnie tak samo, jak nie chcę stracić mojej cioci Lou. Nie... Dziadek był zbyt rozsądny na coś takiego. Mimo wszystko musiałem uważać. W każdym razie nie mogłem martwić się więcej niż jedną rzeczą na raz, dlatego postanowiłem dać sobie z tym na jakiś czas spokój.

Podniosłem wiadra z mlekiem i ułożyłem usta do gwizdu próbując dodać sobie trochę wiary w to, że wszystko się ułoży. Nie byłem tego wcale taki pewien, ale gwizdanie dodało mi trochę otuchy.



ROZDZIAŁ 6

Niedzielnny obiad

W SOBOTĘ BYŁO POCHMURNIE i wiał przejmująco zimny wiatr. Widziałem, jak dziadek kilkakrotnie wygląda przez okno, by sprawdzić pogodę. Wydawał się naprawdę zmartwiony, że jego misterny plan może się nie powieść. Od czasu do czasu wujek Charlie i dziadek odchodzili na bok i rozmawiali przyciszonymi głosami. Udawałem, że tego nie zauważam, choć tak naprawdę zżerała mnie ciekawość, o czym mówili.

Lou zajmowała się ostatnimi przygotowaniami domu. Myślała nawet o otwarciu frontowego saloniku, ale dziadek uznał to za zbędny luksus. Od śmierci babci salonik pozostał zamknięty, a wszystkie meble w środku były zasłonięte prześcieradłami. Jako mały chłopiec bałem się tego pokoju; pewnego dnia jednak ciocia Lou wzięła mnie za rękę i pokazała, że pod prześcieradłami nie ma niczego poza meblami.

Były to zresztą całkiem porządne meble – znajdowały się tam nawet organy.

– Mężczyźni nie mają czasu na czyszczenie wszystkich tych cudów – mawiał na początku dziadek. Potem zmienił wersję na: – Nie ma potrzeby, żeby Lou się tym zajmowała; i tak ma już dużo na głowie.

Myszę jednak, że salon pozostawał zamknięty ze względu na babcię i na to, jak bardzo dziadek za nią tęsknił. W każdym razie, pomimo chęci Lou, by tam posprzątać, dalej go nie otworzyliśmy. Stół nakryto jak zawsze w dużej kuchni połączonej z salonem. Dziadek powiedział, że Lou przyrzadziła wszystko tak ładnie, że spodobałoby się *każdemu*...

Po sobotniej pogodzie, która napędziła nam tyle strachu, w niedzielny poranek dziadek z ulgą zobaczył, że wiatr przepędził chmury, a na niebie ponownie rozbłysło słońce.

Dawno nie widziałem go w tak dobrym nastroju. Obserwując, jak poleruje buty i omiata kapelusz z kurzu, ciocia Lou i ja mrugnęliśmy do siebie porozumiewawczo. Lou była przekonana, że szykował się dla wdowy. Nawet ja sam zacząłbym się tym trochę martwić, gdybym wcześniej nie podsłuchiwał jego rozmowy z wujkiem Charliem.

– Pamiętaj, dziś chodzi tylko o to, żeby się poznali. Nie możemy zbyt mocno naciskać – szepnął do wujka, na co ten z uśmiechem pokiwał głową.

Jazda do kościoła była całkiem przyjemna. Nawet samo nabożeństwo było w porządku. Śpiew brzmiał wyjątkowo dobrze, jak gdyby wszyscy byli niczym ptaki cieszące się ponownym widokiem słońca i wyśpiewujące swoją radość. Stary

pastor White wygłosił kazanie tak, że nawet chłopcy je zrozumieli i byli zaciekawieni. Sam Willie Corbin przerwał rzeźbienie swoich inicjałów na ławce, żeby go posłuchać, a Jack Berry tylko raz podsunął ropuchę w stronę dziewczyn. Nie miałem wątpliwości, że po wyjściu z kościoła będzie żałował, że przegapił tyle okazji.

Gdy po zakończeniu nabożeństwa wszyscy parafianie stali zgromadzeni na słońcu, dziadek zdjął swój kapelusz i podszedł do wdowy Rawleigh, żeby sprawdzić, czy nasze plany na obiad są dalej aktualne. Widziałem, jak niektórzy unieśli w zdumieniu brwi. Pani Tracy Smith, która stała nieopodal, rozmawiając z panią Patricią Smith, urwała w pół zdania i wymownie podniosła brew. Pani Patricia coś jej na to odpowiedziała i nie miałem wątpliwości, że myślały o tym niedzielnym obiedzie to samo, co ciocia Lou. Parsknąłem śmiechem i schowałem się za grupą chłopców, żeby nikt nie pomyślał, że planuję coś spsocić.

Dziadek w swej niewinności dalej rozmawiał z wdową Rawleigh, która przybrała zawstydzoną minę, ale na oczach wszystkich zaczęła się do niego przymilać. Dziadek niczego nie zauważał, lecz pozostali na pewno tak. W końcu pożegnał się, unosząc kapelusz, na co pani Rawleigh zachichotała i uniosła podbródek. Specjalnie rozejrzała się dookoła, by zobaczyć, jakie wrażenie wywołała na zgromadzonych pod kościołem kobietach. Nie rozczarowała się.

Ruszyłem z powrotem na moje miejsce z tyłu wozu i kiedy tylko kościół zniknął za zakrętem, zacząłem zdejmować buty.

Wiedziałem, że ciocia Lou chciała jak najszybciej dojechać do domu, żeby dokończyć przygotowanie obiadu. Stół był już

nakryty, a mała komoda obok okna przystrojona okazałym bukietem kwiatów. Posiłek gotował się wolno w wielkich garnkach na kuchence. Wszystko czekało na nasz powrót do domu. Dziadek nieco popędził konie. Jemu też się spieszyło.

Koła pojazdu jeszcze się kręciły, gdy ciocia Lou zeskoczyła na ziemię i niemal biegiem popędziła do kuchni. Dziadek chyba źle odczytał jej entuzjazm, bo widziałem, jak szturchnął wujka Charliego, kiwając głową w jej stronę. Zaśmiali się jak dwaj uczniowie, którzy właśnie podłożyli węża w biurku nauczyciela.

Rawleighowie nie kazali zbyt długo na siebie czekać. Wydaje mi się, że oni także byli podekscytowani całą wizytą. Do ich przyjazdu Lou zdążyła już wszystko przygotować. Wyglądała na tak opanowaną, jak gdyby spędziła cały dzień huśtając się na hamaku, a nie uwijając przy gorącej kuchence.

Dziadek rozpoczął od kilku zwyczajowych grzeczności. Kiedy jednak miał usadzić gości przy stole, Lou przejęła jego obowiązki z tak wielką gracją, że nikomu nie przyszłoby do głowy zastanawiać się, czy wypadało jej to zrobić. Zaprosiła dziadka na jego tradycyjne miejsce przy końcu stołu, sadzając panią Rawleigh po jego prawej stronie. Drugim sąsiadem pani Rawleigh był wujek Charlie. Jedd siedział po lewej stronie dziadka, a obok Jedda siedziałem ja. Lou zajęła miejsce gospodyni, naprzeciw dziadka.

Wszyscy skłoniliśmy głowy, a dziadek odmówił modlitwę. Podziękował Bogu za jedzenie oraz za „miłych przyjaciół, którzy dzielą z nami posiłek”. Pani Rawleigh na pewno pomyślała, że było to urocze ze strony dziadka, bo kiedy tylko podniósł głowę, posłała mu jednoznaczny uśmiech.

Obiad przebiegał całkiem dobrze. Rozmawiali przede wszystkim dorośli. Od czasu do czasu Jedd wtrącił jakąś uwagę. Według mnie to, co mówił, było zazwyczaj trochę bez sensu i pomyślałem, że chociaż ma widoki na bycie bogatym farmerem, to nie jest chyba zbyt inteligentny. Wdowa Rawleigh chyba widziała to inaczej, bo uśmiechała się z aprobatą za każdym razem, kiedy Jedd się odezwał. Wszystko to jakoś mi nie pasowało. Na pewno nie chciałem, żeby ten chłopak został moim wujkiem – bez względu na to, jak miałyby do tego dojść.

Po obiedzie i licznych komplementach na temat tego, jaki był smaczny, Lou zaproponowała, żebyśmy wypili kolejną filiżankę kawy na ganku z tyłu domu. Dzięki temu mogliśmy się wydostać z gorącej kuchni. Dorośli się zgodzili i chwilę później siedzieliśmy już na ganku, popijając kawę. Z wyjątkiem wujka Charliego – on połknął swoją jednym haustem.

Delikatny wiatr poruszył liśćmi na gałęzi wiciokrzewu. Rozwiął też włosy Lou, zwijając je w małe loczki dookoła jej zarumienionych policzków. Patrząc na nią pomyślałem, że jej oczy wydają się jeszcze bardziej niebieskie niż zwykle – być może dlatego, że akurat miała na sobie sukienkę w takim samym kolorze. Wstrzymałem oddech w nadziei, że Jedd nie będzie się jej za bardzo przyglądał. Tylko ślepy nie zauważyłby, jaka była ładna. Już miałem go jakoś zagadać, żeby odciągnąć jego uwagę, kiedy ciocia Lou sama uratowała sytuację.

– Jeśli nie macie nic przeciwko – powiedziała – pójdę posprzątać pozostałości z obiadu.

Wdowa doskonale wiedziała, że każda kobieta woli sama

sprzątać resztki z własnego stołu, więc słodko się uśmiechnęła i powiedziała:

– Daj znać jak skończysz, moja droga, to ci pomogę pozmywać.

Lou odwzajemniła uśmiech i poszła. A ja zaraz za nią. Spojrzała w tył na ganek.

– Josh – zaczęła – wiem, że o wiele cię proszę, ale czy mógłbyś jakoś zabawić Jedda?

Zastanowiłem się chwilę i dzięki Bogu zdołałem sobie przypomnieć, że Jedd Rawleigh lubił chodzić na ryby.

– Słyszałem, że lubi łowić – powiedziałem. – Mógłbym zabrać go nad rzekę.

– W niedzielę?

– Nie żeby łowić ryby – pospieszyłem z wytłumaczeniem – tylko żeby popatrzeć. Jeśli lubi ryby, na pewno lubi też wodę.

Dzięki temu zasłużyłem na wielki uśmiech i szybki uścisk.

– Dobry pomysł – szepnęła Lou.

Tylko dla cioci Lou zgodziłbym się zabrać kogoś do *mojego* miejsca nad rzeką – a zwłaszcza kogoś takiego, jak Jedd Rawleigh. Już miałem wyjść z powrotem na ganek, by zaproponować Jeddowi wycieczkę, kiedy nagle do głowy wpadła mi jeszcze lepsza myśl. Postanowiłem zabrać go do miejsca, gdzie rzeka jest najbardziej oddalona od naszego domu. Prowadząca tam ścieżka nie była za bardzo wydeptana, ale wiedziałem, że będę w stanie ją znaleźć. Rzadko tam chodziłem, ponieważ rzeka w tamtej okolicy była bardzo szeroka i płytka, z małą ilością dobrych miejsc do łowienia. Brzeg zarastał bagienną trawą

i wierzbowymi zaroślami, a cały teren był dość podmokły i przypominał bardziej moczary niż cokolwiek innego.

Moje spojrzenie musiało zdradzać, o czym myślałem, ponieważ ciocia Lou zaczęła uważnie mi się przyglądać.

– Nie masz nic przeciwko?

– Nie, w porządku – starałem się, by mój głos brzmiał beztrzesko.

Wyszedłem na taras niemal w podskokach. Dziadek słuchał wdowy opowiadającej o swoich problemach z robotnikami i o tym, jakim oparciem jest dla niej niezawodna pomoc Jedda na farmie.

Szturchnąłem Jedda.

– Chciałbyś przejść się na spacer?

Jedd podniósł się z miejsca, wyszczerzył zęby w uśmiechu i ruszyliśmy w drogę. Okrążyliśmy dom, a ja zatrzymałem się przy frontowym ganku, jak gdyby nagle przyszedł mi do głowy jakiś pomysł, po czym zdjąłem skarpety i buty.

– Nigdy nie czuję się zbyt wygodnie w niedzielnych butach – wytłumaczyłem, uważnie podwijając nogawki moich niedzielnych spodni.

Jedd tylko się uśmiechnął, skłonny zaakceptować moje chłopięce fanaberie. Prawda była taka, że absolutnie nie chciałem iść w niedzielnych butach tam, dokąd zmierzaliśmy.

– Słyszałem, że lubisz łowić.

Znów się uśmiechnął, ale zaraz po tym spoważniał.

– Mama nie pozwala mi łowić w niedzielę.

– Ja też nie łowię w niedzielę; pomyślałem tylko, że może chciałbyś zobaczyć, jak tutaj wygląda rzeka, tak na przyszłość.

– Pewnie. – Uśmiech powrócił na jego twarz.

Ruszyliśmy w kierunku tylnego pastwiska. Rozejrzałem się, by sprawdzić, czy ktoś patrzy, dokąd idziemy. Wdowa Rawleigh, dziadek i wujek Charlie dalej siedzieli na ganku. Wiedząc, jak to zawsze bywa i dodając strzępki informacji, które uzyskałem później od Lou – oraz trochę własnej fantazji – potrafię sobie wyobrazić, jak to popołudnie przebiegło. Wujek Charlie nie był zbyt rozmowny, więc kiedy Lou dała mu znak z kuchennych drzwi, z chęcią wrócił do domu.

– Wiem, że pani Rawleigh zaproponowała swoją pomoc przy zmywaniu, ale wydaje mi się, że dobrze jej się gawędzi z Tata. Może ty mógłbyś wytrzeć naczynia, wujku?

Lou poprosiła go o to ze swoim najśłodszy uśmiechem zatytułowanym: „Dobrze wiem, o co tu chodzi”. Wujek Charlie tylko wyszczerzył zęby w odpowiedzi i wziął od niej ręcznik. Bo tak naprawdę wołał siedzieć w kuchni z Lou niż w zakłopotaniu słuchać kurtuazyjnej rozmowy na ganku.

Szybko uwinęli się z naczyniami, po czym wujek Charlie niechętnie ruszył w kierunku drzwi na ganek. Ponieważ frontowy salon był zamknięty, jedyne wyjście na zewnątrz znajdowało się z tyłu domu, tak więc wujek Charlie miał do wyboru albo siedzieć w środku, albo przemknąć obok tych dwojga siedzących na ganku. Zawahał się na moment, po czym wyszedł.

– Ojej – powiedziała wdowa, jak gdyby widok wujka, który nagle się przed nią zmaterializował, o czymś jej przypominał. – Jak ten czas pędzi! Kochana Louisa pewnie zajęła się już naczyniami.

– Już pozmywane – przyznał wujek Charlie, a dziadek odwdzięczył mu się twardym spojrzeniem. Wujek postanowił je zignorować. – Właśnie skończyliśmy.

Wyglądało na to, że wujek Charlie zmierza w stronę schodów, więc dziadek postanowił go zatrzymać.

– Dokąd poszli młodzi?

– Chyba na spacer.

– To dobrze – uśmiechnął się dziadek, wyobrażając sobie Jeddą i Lou włączających się ręką w rękę pomiędzy zaroślami – ona z kwiatem, który on wetknął jej we włosy.

Było jednak trochę inaczej. Jedd i ja przedzieraliśmy się przez błotnistą ziemię, walcząc z wierzbowymi krzewami. Mnie to nie przeszkadzało. Byłem boso, a nogawki starannie podwinąłem powyżej kolan. Jedd jednak nie radził sobie tak dobrze. Jego niedzielne buty były całe zabłocone, i chociaż podciągał nogawki kiedy przechodziliśmy przez najbardziej podmokłe miejsca, jego spodnie i tak były pochłapane i brudne. Sapał przeciskając się przez bujną roślinność. Co kilka minut zapewniałem go, że nie zostało nam dużo drogi, i że za moment dojdziemy do celu, a rzeka znajduje się za następną kępą traw.

Lou natomiast powiedziała wujkowi Charliemu, że wybiera się na krótki spacer. Zakładając, że umówiła się „z kims”, wujek tylko się uśmiechnął.

– Dobry pomysł – przytaknął.

Tak więc po umyciu naczyń ciocia Lou wzięła książkę i przygotowała się do cichej ucieczki. Poradziła sobie z tym lepiej niż wujek Charlie. Cicho i ostrożnie wygramoliła się

na zewnątrz przez kuchenne okno i poszła nad staw, gdzie siedziała zajęta lekturą dopóki nie uznała, że musi wracać, by zaserwować popołudniowe przekąski.

Wujek Charlie jeszcze przez kilka chwil pozostał na gan-ku, ale zaraz zaczął się wycofywać w kierunku schodów, mamrocząc coś o rozprostowaniu nóg i sprawdzeniu, czy koniom czegoś nie trzeba. Dziadek i wdowa zostali więc sami. Ten dzień musiał się dla dziadka ciągnąć w nieskończoność. Nigdy nie lubił za wiele mówić, ale był całkiem dobrym słuchaczem, co chyba odpowiadało wdowie.

Gdy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, ciocia Lou stwierdziła, że pora wracać i przygotować herbatę. Weszła do kuchni w ten sam sposób, w jaki się z niej wydostała, delikatnie przerzucając swoją długą spódnicę, żeby nią nie zahaczyć o parapet.

Ja z kolei wreszcie natknąłem się na rzekę – taką, jaka zawsze w tym miejscu była. Nie wyglądała specjalnie imponująco, i nawet niezbyt bystry Jedd wiedział, że nie nadawała się do łowienia. Udawałem, że to wszystko mnie zaskoczyło i rozczarowało, choć udało mi się jakoś tak wybrnąć, by nie musieć jawnie skłamać. Ruszyliśmy więc z powrotem, torując sobie drogę przez błoto i brud. Wizytowe ubranie Jedda wyglądało coraz gorzej i zacząłem się zastanawiać, czy trochę nie przesadziłem.

Dotarliśmy do domu spóźnieni. Herbata i kruche ciasto z truskawkami stały już na stole. I ponownie pojawił się wujek Charlie. Wdowa wciąż prowadziła rozmowę, chociaż martwiła się, że Jedd tak długo nie wraca.

Kiedy go wreszcie zobaczyła, uniosła brwi tak wysoko, że niemal zniknęły w jej ufryzowanych w stylu pompadour włosach.

Ja wyglądałem całkiem w porządku. Ostrożnie odwinąłem nogawki spodni, rozprostowując zagniecenia najlepiej jak umiałem, a potem strzepnąłem z siebie żdzibła trawy i kawałki błota. Przemyłem także stopy wodą z beczki na deszcz, wytarłem je o trawę i z powrotem założyłem skarpety i buty. Nie było po mnie widać ani śladu naszej wycieczki. W przeciwieństwie do Jedda. Jego buty i skarpety wyglądały koszmarnie, podobnie zresztą jak spodnie. Z ubrań i włosów wystawały mu gałązki, pajęczce sieci i inne śmietki.

Odzyskawszy oddech, wdowa westchnęła.

– Gdzieś ty był?

Pozwoliłem Jeddowi odpowiedzieć na jej pytanie.

– Nad rzeką – uśmiechnął się słabo.

Teraz to brwi dziadka powędrowały do góry. Znał każdą ścieżkę nad rzekę i każdy skrawek ziemi, przez którą przepływała. Wiedziałem, że bez problemu domyślił się, którą część rzeki odwiedziliśmy. Spojrzał na Jedda, potem na mnie; na ubrania Jedda i na moje. Zmarszczył brwi. Działo się coś dziwnego i zamierzał to sprawdzić, gdy nasi goście już pojadą.

Pani Rawleigh zajęła się Jeddem. Pomyślałem, że kiedy go tak omiatała, czyściła i strofowała, wyglądał jak przerośnięty uczeń. W końcu uznała, iż wygląda na tyle przyzwoicie, że może sobie pozwolić na ciasto, chociaż nadal nie prezentował się zbyt dobrze.

Gdy tylko skończyliśmy posiłek, wujek Charlie poszedł z Jeddem po powóz, a wdowa zwróciła się do dziadka.

– To była wspaniała wizyta, Danielu. – Rozciągnęła jego imię na tak dużo sylab, jak tylko pozwolił jej na to język. – Musimy ją wkrótce powtórzyć!

Dziadek wydawał się zakłopotany. Widziałem, że na jego czole pojawiły się krople potu, mimo to zachował się jak prawdziwy dżentelmen i przykładny gospodarz.

– Bardzo dobrze – uśmiechnął się. – Cała przyjemność po naszej stronie. Bardzo się cieszę.

Nagle wpadł mu do głowy nowy pomysł.

– Oczywiście zbliżają się żniwa, więc obawiam się, że będziemy musieli odłożyć przyjemności na później i zająć się pracą.

Pani Rawleigh aż rozbłyła. Taki inteligentny mężczyzna, a do tego dżentelmen w każdym calu.

– Oczywiście, ale w dzień Pański zawsze należy się odpoczynek, nawet podczas żniw. Liczymy na to, że odwzajemnią się nam państwo i niebawem dołączą do nas na niedzielnym obiedzie.

– To bardzo miłe z pani strony i bardzo chętnie to zrobimy.

Dziadek zaczynał zachowywać się niespokojnie. Stawało się jasne, nawet dla niego, że wdowa całkowicie źle odczytała jego zamiary.

– W takim razie w następną niedzielę?

– W następną niedzielę. – Dziadek przywołał na usta słaby uśmiech.

Wdowa zwróciła się do reszty naszej rodziny z pożegnaniem.

– Jeszcze raz dziękuję ci za cudowny obiad, moja droga – powiedziała do cici Lou. – Jesteś nieocenioną pomocą dla swojego ojca.

Przeniosła swoje pełne podziwu spojrzenie na dziadka, obdarzając go zachęcającym uśmiechem. Dziadek podniósł rękę, by poprawić kołnierzyk. Niewątpliwie miał wrażenie, że zaraz się udusi.

W końcu pojechali. Dziadek wracał do domu, poluzowując ciasny kołnierzyk i potrząsając głową. Wydawało się, że w jakiś sposób wszystko poszło nie tak. Zamierzał jednak wstrzymać się z oceną sytuacji do czasu, aż usłyszy, opinię Lou na temat dzisiejszego dnia. Na pewno trochę lepiej poznała Jedda w ciągu tych długich godzin. Dziadek usiadł przy kuchennym stole i potarł sobie brwi.

– Mili ludzie – powiedział do Lou. Obaj z wujkiem Charliem wiedzieliśmy, że zwracał się właśnie do niej, mimo że również siedzieliśmy przy stole.

– Mhm.

– Wizyta pani Rawleigh była bardzo miła.

– Widzieliśmy – odparła Lou, mrugając, na co twarz dziadka poczerwieniała. Postanowił to zignorować i mówił dalej.

– Miałaś okazję pogawędzić z Jeddem?

– O tyle, o ile – odpowiedziała krótko.

– Kiedy?

– Przy stole.

Dziadek dobrze wiedział, ile słów Lou zamieniła z Jeddem przy stole. Nie pamiętam, żeby powiedziała do niego choćby: „Podaj masło”. Dziadek zmierzył Lou wzrokiem.

Odpowiedziała na jego spojrzenie, a następnie podniosła się, stanęła za jego krzesłem, i w swój dziewczęcy sposób objęła jego szyję ramionami.

– Och, tato – powiedziała, przyciskając swój policzek do jego. – To nie ma znaczenia. Po prostu nie lubię Jedda Rawleigha, to wszystko. Ale jeśli ty lubisz panią Rawleigh, to nie ma żadnego problemu. Obiecuję, nie będę w niczym przeszkadzać. Będę pokorna i łagodna jak...

Dziadek gwałtownie wstał i spojrzał na Lou, jak gdyby postradała zmysły. Zrozumiał już, o co jej chodziło.

– Myślisz, że... że interesuję się wdową?

– A nie jest tak?

Twarz dziadka zrobiła się czerwona jak burak, a żyły na jego szyi napięły się.

– Oczywiście, że nie! – zagrzemiał. – Oczywiście, że nie.

– Więc dlaczego...?

– Chciałem tylko, żebyś... – Dziadek znalazł się w potrzasku i dobrze o tym wiedział. Nie mógł wprost powiedzieć Lou, że chciał wydać ją za mąż, ale nie mógł też jej okłamać.

– Och, po prostu... Zapomnijmy o tym... Dajmy temu spokój, to jedna wielka pomyłka... – wybełkotał wreszcie, starając się zakończyć rozmowę.

– Ale wdowa Rawleigh... – wcięła się ciocia Lou.

– No, co z nią? – dziadek niemal warknął. Nigdy nie zwracał się w ten sposób do Lou.

– Zaprosiła nas na obiad w przyszłą niedzielę.

– Pójdziemy, tak jak zapowiedzieliśmy – zadeklarował dziadek bez wahania.

– Ale ona myśli... – zawahała się Lou.

– Co myśli?

– Cóż – zaczęła Lou, raczej zmieszana całą tą niespodziewaną sytuacją – sama jestem kobietą i widziałam jej dzisiejsze zachowanie. Ona myśli, że ci *zależy*.

– Dlaczego, u licha, miałyby tak myśleć? – fuknął dziadek.

– No wiesz, ponowiłeś zaproszenie i rozmawiałeś z nią na osobności przez parę godzin.

Dziadek odwrócił się.

– A tak w ogóle to gdzie wy wszyscy byliście? Charlie! Dokąd tak wygodnie zniknąłeś? Mogłeś słuchać o jej sprawozdaniu z operacji tarczycy równie dobrze jak ja. Dokąd poszedłeś? A ty, chłopcze...

Ja jednak wspinałem się już po schodach, żeby zmienić ubranie i pójść w kierunku naszego zapasu drewna. Pomyślałem, że przydałoby się narąbać trochę dodatkowego drzewa; Lou na pewno zużyła go dość sporo do ugotowania takiego dobrego obiadu.

Temat Rawleighów nie był już więcej przez nikogo poruszany. W następną niedzielę zgodnie z obietnicą pojechaliśmy do nich na obiad, ale nie zostaliśmy zbyt długo. Dziadek wydał nam surowy zakaz opuszczania salonu. Po niezbyt interesującej wizycie podziękowaliśmy gospodarzom i ruszyliśmy do domu.

Pani Rawleigh nie była nawet w połowie tak dobrą kucharką jak ciocia Lou. Dziadek bardziej swoim milczeniem niż słowami zawyrokował, że cała sprawa została zamknięta. Ja natomiast – niestety, z pewnym poczuciem samozadowolenia – mentalnie skreśliłem Jedda Rawleigha z mojej listy.



ROZDZIAŁ 7

Hiram

PRZEZ TO CAŁE ZAJŚCIE dziadek był nieco zmieszany, dlatego spodziewałem się, że może nie będzie już próbował niczego podobnego. Nie miałem jednak racji. Byłem już w łóżku i niemal zasypiałem, kiedy z dołu dobiegły mnie dźwięki stukania dzbanka do kawy i przyciszonych głosów. Wygrzebałem się spod ciepłej pierzyny i powoli zszedłem kilka stopni w dół. Dziadek z wujkiem z pewnością znów coś knuli.

– ...i to nie była moja wina – mówił dziadek. – Wszystko przez to, że mnie zostawiliście.

– Naszym pierwszym błędem było wybranie wdowy. Powinniśmy byli pomyśleć, jak to będzie wyglądało. Ludzie ciągle jeszcze o nas gadają.

Dziadek wziął łyk kawy, która okazała się za gorąca. Słyszałem, jak siorbie powietrze, żeby schłodzić sobie język.

– Cała ta sytuacja jest śmieszna. Jak ludzie mogli w ogóle pomyśleć, że ja.. Że jestem... – Nie potrafił znaleźć słów, żeby wyrazić, co czuje, więc zakończył tylko chrząknięciem.

Wujek Charlie wydał usta i zassał powietrze, a następnie, gdy gorąca kawa przepłynęła przez jego gardło, wydał z siebie pełne zadowolenia westchnienie. Jego krzesło uderzyło o podłogę, ponownie stając na wszystkich czterech nogach.

– Dobrze, więc nawaliliśmy – przyznał rzeczowym tonem. – Nikt nie powiedział, że trafimy za pierwszym razem. Wiedzieliśmy, że potrzeba będzie trochę wysiłku i czasu. Nie możemy się tak od razu poddawać. Będziemy szukać dalej, zanim jakiś szczeniak zacznie szukać Lou. A widziałeś te twarze w kościele? Widziałeś, co się działo w zeszłym tygodniu? Ten młody Anthony Curtis, który nie ma grosza przy duszy ani porządnego dachu nad głową, podszedł prosto do Lou, wykręcając w rękę kapelusza tak, że prawie zniszczył jego rondo. Zapytał ją wprost, czy może ją kiedyś odwiedzić!

– Nie wiedziałem o tym – odparł dziadek z troską w głosie.

– Tym razem nam się poszczęściło. Chłopak ma gębę jak łoś. Ale któregoś dnia pojawi się ktoś przystojny i Lou zapomni, że liczy się coś więcej, niż sam wygląd.

– A słyszałaś, co Lou odpowiedziała?

– Oczywiście. Powiedziała, że bardzo jej przykro, ale na razie jest zajęta przygotowaniem do przyjazdu dziadka, a później będzie dużo pracy przy żniwach.

– Bystra dziewczyna! – zachichotał dziadek z ulgą. – Sama ich przepędzi, jeśli będzie chciała.

– To nie był jednak *prawdziwy* powód.

– Pewnie, że nie. Jak sam powiedziałaś, ten chłopak nie jest zbyt przystojny.

– To także nie dlatego.

– Nie?

– Nie – wujek Charlie zamilkł. – Chodziło o Nellie Halliday. Lou wie, że Anthony Curtis podoba się Nellie odkąd tamta skończyła dwanaście lat. Lou nie chciała jej zranić.

– Nellie Halliday? – dziadek znów się zaśmiał. – Niezła para: łoś i jeżozwierz.

Wujek Charlie nie miał nastroju na dowcipy dziadka.

– Donikąd w ten sposób nie dojdziemy. Zajmijmy się naszymi sprawami.

– Kto następny?

– Ty wybrałaś Jeddą Rawleigha – przypomniał wujek Charlie – więc może teraz moja kolej?

– Brzmi sprawiedliwie – przynajmniej dopóki będziesz się trzymał naszej listy.

– Będę się trzymał listy.

Wujek Charlie uważnie przestudiował kartkę, w głowie dokonując oględzin każdego kandydata. Dziadek czekał.

– Hiram – Hiram Woxley. Z tych wszystkich, których tu mamy, on najbardziej wygląda mi na odpowiednią partię. Oj, brakuje nam w okolicy porządnych chłopców.

– Nigdy nie zwracałem na to uwagi, dopóki nie zaczęliśmy szukać jakiegoś dla Lou. Zawsze wydawało mi się, że jest ich całe mnóstwo. Gdzie tylko nie pójde...

Wróciłem do siebie. Usłyszałem już wystarczająco dużo.

Hiram Woxley był kawalerem. Żadnej matki-wdowy, którą trzeba by się było martwić. Jak dla mnie Hiram wziął się znikąd. Przeprowadził się do miasteczka, kiedy był już dorosły i zamieszkał tu całkiem sam. Nie słyszałem nigdy nic na temat jego rodziny.

Był dość przyzwoitym chłopakiem – miał około trzydziestu lat, zawsze świeżo ogolony i czysty, cichy, jednak w pewien sposób silny. Regularnie chodził do kościoła i trzymał się z dala od dziewczyn i dzieci. Miał dużą, dobrze utrzymaną farmę na południu miasta. Przeczuwałem, że to właśnie ta farma, bardziej niż on sam, zapewniła mu miejsce na liście.

Przez długi czas leżałem w łóżku, myśląc o Hiramie Woxley'u. Co o nim wiedziałem? Większość z tego, co o nim mówiono, była pozytywna. W zasadzie nie mogłem sobie przypomnieć ani jednej rzeczy, do której mógłbym się przyczepić.

Robiłem się coraz bardziej senny i mój mózg nie chciał już dłużej pracować nad tym problemem, kiedy nagle coś mi się przypomniało – pieniądze! Podobno Hiram Woxley był strasznie skąpy. Parę razy spotkałem go w sklepie z narzędziami. Próbował – po cichu, ale stanowczo – targować się o cenę każdej poszczególnej rzeczy. Słyszałem później, jak sprzedawca mówił, że nie znosi, kiedy Hiram przychodzi do jego sklepu. Mówiono, że wołałby stracić palec niż dolara. Na pewno mogłem to jakoś wykorzystać na swoją korzyść.

Zanim zasnąłem, postanowiłem, że w przyszłą niedzielę spróbuję znaleźć sposób, by trochę pogawędzić z Hiramem Woxleyem – to znaczy, jeśli tylko uda mi się w ogóle do niego zbliżyć. Jak już wspominałem, nie bardzo lubił dzieci.

W niedzielny poranek zdołałem jakoś namówić ciocię Lou na włożenie jej najlepszej sukienki. Dziadek przekonał Lou, by kupiła ją zeszłej wiosny na ślub Mary Smith. Cieszył się, kiedy Lou wyglądała najładniej, jak się dało, i chociaż krzywiła się na wysoką cenę, w końcu skłonił ją do zakupu sukienki. Ciocia Lou wyglądała w niej jak milion dolarów.

Gdy schodziła po schodach przed wyjazdem do kościoła, widziałem jak dziadek i wujek Charlie wymienili zmartwione spojrzenia. Na pewno bali się, że jeśli Lou będzie chodziła tak ubrana, jakimś młodemu chłopakowi zbierze się na amory zanim oni będą mieli okazję, żeby odpowiednio pokierować sytuacją.

Lou wyszła na zewnątrz, a ja zaraz za nią. Usłyszałem jeszcze, jak dziadek szepcze do wujka Charliego:

– Może będzie dobrze. W końcu Hiram też nie jest ślepy.
Wujek Charlie skinął głową. Pojechaliśmy do kościoła.

Po nabożeństwie wyszedłem na podwórze, żeby poszukać Hirama. Na zewnątrz było gwarно jak w ulu. Wszyscy byli przejęci, ponieważ stary pastor White poinformował radę kościelną, że niedługo chciałby przejść na emeryturę, w związku z czym powinni zacząć szukać kogoś na jego miejsce. Teraz wszyscy o tym gadali. Większość ludzi nie miała wątpliwości, że nikt nie zdoła zastąpić tak lubianego pastora. Wydawało się, że byliby zadowoleni, gdyby pracował do samej śmierci. Wszyscy zadawali jakieś pytania, chociaż nikt chyba nie spodziewał się żadnej konkretnej odpowiedzi. Czy pojawi się jeszcze ktoś, kto będzie pasował do ich miasta tak dobrze, jak

pastor i jego żona? Czy powinni szukać kogoś, kto umie wygłaszać inspirujące przemówienia, czy raczej kogoś, kto rozumie ludzi i troszczy się o nich? Chyba wszyscy zakładali, że nie da się mieć tego wszystkiego naraz.

Ja tylko wruszałem ramionami. Nie miało to dla mnie znaczenia. Niektórzy ze starszych chłopców zaczęli kwestionować samą ideę kościoła zastanawiając się, czy dziarscy, żądni przygód młodzieńcy w ogóle go potrzebują. Nadawał się bardziej dla starców i dzieci. Ja też czasami o tym myślałem. W każdym razie na pewno nie było dla mnie istotne, kim jest starszy pan, który będzie stał naprzeciw nas w czarnym garniturze, czytając Biblię. Moim zdaniem każdy potrafiłby to zrobić równie dobrze.

Znalazłem Hirama przy bramie z innymi kawalerami. Nie trudno było się domyślić, co robią. Obczajali dziewczyny, czy jakkolwiek inaczej można to nazwać. Oceniali każdą, która obok nich przechodziła. Wyrażali swoją opinię uśmiechami, szturchnięciami, kuksańcami i komentarzami. Wydawało się, że wszyscy wiedzą, jak działa ten system.

Stałem w ciszy, zdając sobie sprawę, że jeśli mnie zobaczą, stwierdzą, że jestem za młody, by do nich dołączyć. Skupiali się jednak całkowicie na drzwiach kościoła, czekając na pojawienie się następnej kandydatki. Ja w międzyczasie ostrożnie przybliżyłem się do Hirama Woxleya.

Kolejne dziewczyny wychodziły z kościoła, oceniane przez grupę mężczyzn. W końcu zobaczyłem głowę cioci Lou unoszącą się powyżej tłumu na schodach. Gdy się zatrzymała, by

porozmawiać z żoną pastora, wszyscy usunęli się z jej drogi jak gdyby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

Słońce świeciło prosto na nią, odbijając się od jej opadających na ramiona loków. Jej oczy lśniły, i nawet z miejsca, w którym staliśmy, można było dostrzec, jakie są niebieskie. Uśmiechała się typowym dla siebie pięknym uśmiechem, pełnym ciepła i radości życia. Jej sukienka była piękna, ale patrząc na nią nawet ja zdawałem sobie sprawę, że wyglądałaby równie ślicznie w worku na ziemniaki.

Wydawało się, jak gdyby wszyscy chłopcy wokół mnie wstrzymali oddech, a kiedy przeszła, wszyscy jednocześnie wypuścili powietrze z płuc. „Ropucha” Hopkins wyrzucił swój kapelusz w górę, wydając z siebie radosny okrzyk. Shad Davis zawył coś w rodzaju: „Łuuu–huuu!”, a Burt Thomas i Barkley Shaw zaczęli szturchać się nawzajem po żebrach, szczerząc się do siebie jak dwaj wariaci. W końcu trochę się uspokoili.

– Wow – westchnął Joey Smith – ależ ona pięknie wygląda.

Postanowiłem, że najwyższy czas zaznaczyć swoją obecność. Wziąłem głęboki oddech.

– No, ja myślę, że pięknie – próbowałem zabrzmieć, jakbym był zniesmaczony. – Za te pieniądze, jakie dziadek wydał na jej strój, mógłbym sobie kupić cały sprzęt wędkarski, o jakim marzę, a do tego strzelbę kaliber .22.

Nie czekałem, żeby zobaczyć, jaki efekt wywołały moje słowa, ale precyzyjnie się przez grupę kawalerów w taki sposób, jak gdyby myśl o tym dalej wywoływała we mnie złość. Stwierdziłem, że przynajmniej Hiram będzie miał się nad czym

zastanawiać. Mogło zadziałać albo nie, tego nie wiedziałem, ale nie zamierzałem się poddawać. Kawałek po kawałku powinno do niego dotrzeć, że żona może kosztować mężczyznę bardzo dużo pieniędzy. Byłbym gotów się założyć, że Hiram Woxley wolał mieć pewność, że jest tego warta.